



KRZYSZTOF[®] BONK

HARREMI

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Harremid

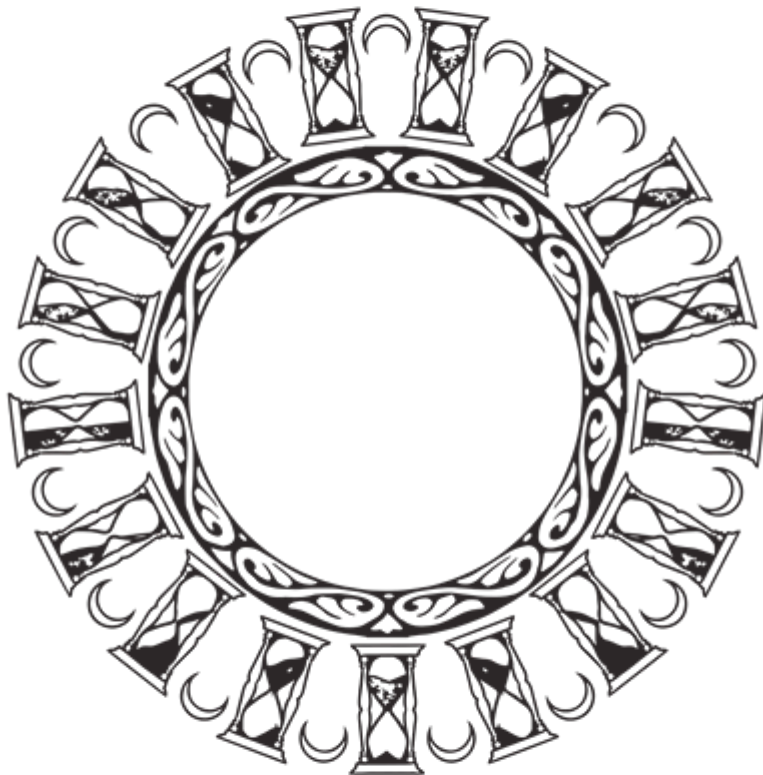
Cykl Pendorum VI

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-959-3
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. W OTCHŁANI

Zgodnie z moim oczekiwaniem Viria dotrzymuje danego słowa. Jej okręt rzuca kotwicę w pobliżu brzegu Otchłani, gdzie w sercu tej krainy ma przebywać czarownik Gabu. Wodujemy dwie łodzie i niebawem schodzimy na suchy ląd. My, czyli ja, Viria, jak również kilku piratów oraz nieskrępowana już Nail.

Lecz uwalniam ją z więzów bynajmniej nie dlatego, iż wybaczam jej zabicie Atrix i mego nienarodzonego dziecka. Jedynie wychodzę z założenia, że tu, na tej przeklętej ziemi, i tak nie ma ona dokąd uciekać. A jeżeli spróbuje szczęścia samotnie, niech i tak będzie. Ale taki wybór niechybnie przyniesie jej śmierć. Obecnie ciągle myślę, że jak najbardziej zasłużoną śmierć. Jednak dopóki żyje, niech pokutuje.

– Ona to poniesie i to również. – Na kamienistej plaży wskazuję na Nail, a potem na wyciągane z łodzi skrzynie z prowiantem.

– Da radę to wszystko udźwignąć...? – pyta Viria.

– Musi.

– Musi...?

– Tak, ponieważ zabrałem ją na tę wyprawę, jako juczne zwierzę. Jest tu tylko dlatego.

– Tylko dlatego...? – wyraża wątpliwość kobieta. Przygląda się z uznaniem sylwetce dziewczyny i sugeruje: – Skoro ma status niewolnicy, co osobiście popieram, to nich służy też wieczorami swym ciałem moim kamratom. A może i ja się przy niej co nieco ogrzeję...

– Nic z tego – oznajmiam zdecydowanie. – Będzie nosić bagaże, zbierać chrust na opał oraz przygotowywać do spożycia upolowaną zwierzynę. To wszystko.

– Hmh... – mruczy bez przekonania Viria i drwiąco dorzuca: – Ciekawy zestaw, jak na juczne zwierzę... Ale jak tam sobie uważasz. W końcu ty tu dowodzisz...

– Właśnie – ucinam dalszą dyskusję i przesuwam nogą w kierunku Nail ciężkie, skórzane torby.

Dzień jest chłodny, w powietrzu przeważa wilgoć, a przestrzeń osnuwa gęsta niczym dym szara mgła. W takiej atmosferze kroczyliśmy niezbyt długą kolumną pomiędzy ciemnymi zaroślami. Idę na czele razem z Virią. Za nami poruszają się trzy pary uzbrojonych po zęby piratów. Na końcu, trochę z tyłu z powodu dźwiganego ciężaru, sunie ociężałe Nail, z trudem dotrzymując nam kroku.

Przemierzamy się w kierunku północnym, w milczeniu, aż w pewnym momencie wyłania się przed nami okazały szkielet jakiegoś potwora. Przyglądam się z respektem jego długim zębiskom i kościstym wyrostkom na bielejącej czaszce. Z kolei wokół jego racicy zauważam żelazne wnyki na łańcuchu. Viria ogniskuje na nich wzrok i kpiąco oświadcza:

– Doskonale. Teraz mam pewność, że jesteśmy na właściwej drodze.

– Więc to ma być... drogowskaz? – zapytuję zdziwiony, spoglądając ciągle na szkielet.

– Jakbyś zgadł... – Kobieta patrzy na mnie z wyższością. Następnie, jakby starając się przedrzeć wzrokiem przez mgłę, stwierdza: – Nieco dalej znajduje się obszerna polana. To będzie dobre miejsce na postój i nocleg.

– Nie za wcześnie na biesiadę? – wyrażam wątpliwość.

– Nie – rzuca ostro Viria. – Musimy się tu zaadoptować i zorientować, czy w pobliżu nie ma jakichś niemiłych niespodzianek. A przede wszystkim powinniśmy przeczekać tę podejrzaną mgłę. Nigdy nie wiadomo co się z niej może nagle wyłonić. – Rozgląda się z niechęcią i demonstrując skórzaną mapę w rękę, swobodnie kontynuuje: – Wraz z kolejnym dniem ruszymy wzdłuż strumienia, potem przemierzmy gęsty las i dotrzemy do rzeki.

– Dobrze znasz drogę?

– Jak najbardziej. I dlatego posłusznie dostosuj się do mojego przewodnictwa, przywódco... – Kobieta spluwa na przegniłą trawę. –

Rozumiesz? – dodaje.

– Niech tak będzie – oświadczam niechętnie, ale w duchu przyznaję, że na tym nieznanym mi terenie rozsądnie będzie oddać się pod przewodnictwo kogoś doświadczonego.

Na wspomnianej przez Virię polanie rozbijamy obóz i wystawiamy warty. Czterech ludzi na czterech stronach świata w niewielkiej odległości od siebie. Pozostała piątka wznieca ognisko i solidarnie przygotowuje pożywienie. Wtedy sam wkraczam do akcji, cedząc cierpko przez zęby:

– Odpocznijcie. Ona wszystkim się zajmie. – Pokazuję ręką na strudzoną Nail.

– Czemu nie – zgadza się bez oporu Vira i rzuca władczo do dziewczyny: – Narzuć na trawę derkę i przygotuj mi koc, zimno tu. – Rozciera ramiona. Natomiast Nail czyni wszystko zgodne z rozkazem tym, jak i kolejnymi. Ja sam, rozgrzewając się przy właśnie wznieconym ognisku, jakby od niechcenia zapytuję:

– Ile czasu zajmie nam dotarcie do czarownika?

– Ile czasu...? – powtarza w zadumie Viria i jednocześnie bierze się za przegryzanie sucharów. – To zależy... – stwierdza i głośno chrupiąc, ciągnie dalej: – Jeżeli po drodze nie przydarzą nam się żadne wpadki, w co wątpię... to piesza droga zajęłaby kilka tygodni. Jednakże, jak znam życie i Otchłani... wkrótce ktoś, lub coś urozmaici nam naszą wyprawę. Ja zaś liczę, że w zwycięskiej konfrontacji z przyszłym przeciwnikiem uda nam się zdobyć konie... To jedyna szansa, aby względnie szybko i w miarę bezpiecznie pokonać ten niegościnnie teren.

– Czy możemy tu liczyć na jakichś sojuszników? – interesuję się.

– Phi! – parska na to Virai. – W Otchłani?! Chyba żartujesz... – kpi i wymachując nadgryzionym sucharem, z determinacją stwierdza: – Przygotuj się, że na nic tu zdadzą się kosztowności, czy piękne słowa, sugerujące nie zarzynanie się nawzajem w razie spotkania oko w oko z tubylcami. W tej przeklętej krainie liczy się przede wszystkim ostry, gotowy do użycia oręż. Jak również ludzkie zasoby... – Spogląda łagodnie na Nail i posypując jej okruszki z sucharów, ucieszenie oznajmia: – cip, cip, cip... Smacznego moje ty juczne zwierzę... A niebawem może zwykła kuro niosko na sprzedaż...

*

Nazajutrz ruszamy prosto w górę strumienia. Na niewielkim wzniesieniu mijamy ślady dawnego obozowiska ze spróchniałymi zasiekami z zaostrzonych pali. Potem nie niepokojeni przemierzamy ponury las, polanę i znowuż brniemy w leśnej gęstwinie. Aż pod wieczór docieram na otwarty teren, gdzie bystro płynie okazałych rozmiarów rzeka. Viria zatrzymuje się tutaj, a wtedy zadaje jej pytanie:

– Rozbijamy obozowisko?

– Nie – rzuca szorstko. – Przystanęłam tu tylko na chwilę, aby... pozdrowić przeszłość... – Wodzi wzrokiem po spienionych, wodnych kaskadach.

– Zatem niech będzie pozdrowiona – rzucam obojętnie zmęczonym głosem po całodziennej marszrucie.

– Tak, niech będzie pozdrowiona, jasne... – przytakuje kobieta. I już mamy ruszyć w dalszą drogę, kiedy to naprzeciw nas wyłania się liczna grupa jeźdźców w grubych futrach i na chudych, płowych rumakach.

– Broń w gotowości... – posykuje Viria. Sama kładzie dłonie na rękojeściach dziwnych przedmiotów za swoim grubym, czarnym pasem, okalających jej równie czarną spódnicę. Z kolei oddział przywódczyni piratów rozstawia się w równym szeregu, mając pośrodku samą Virię. Nieco z tyłu, dopiero teraz, dochodzi do nas taszcząca pakunki Nail. Ja sam, odważnie, a może raczej głupio, czynię krok do przodu.

Niebawem jeźdźcy w liczbie około trzydziestu zatrzymują się tuż przed nami, a jeden z nich zeskakuje z rumaka. Ma białe, farbowane włosy wygolone do gołej skóry na skroniach, a pozostałe związane w długi warkocz. Mężczyzna ten jest dość młody i niezwykle postawny, a ponurą twarz zdobi mu wytatuowany na czole czarny krzyż. Za broń służą mu dwa toporki przy pasie oraz potężny topór przewieszony przez plecy.

Wydaje się on przywódcą prowadzonej przez siebie grupy i po jego chrapliwie wypowiedzianych słowach wychodzi na to, że rzeczywiście nim jest.

– Me imię to Zag. – Uderza się dumnie masywną pięścią w szeroki tors.
– Jestem synem wielkiego Gronta z klanu Mroźnej Rzeki.

– Czyli synem trupa – rzuca wyzywająco Viria.

– Tak, mój ojciec odszedł ze świata żywych, a jego duch rozpląnął się w nicości... – Barbarzyńca mrozi kobietę nienawistnym wzrokiem i kładąc ręce na metalowych głowicach toporków, czyni zdecydowany krok naprzód. Na co zagradzam mu drogę i z dumą oświadczam:

– Zwą mnie Avezan i jestem synem mitycznej Anrei.

W odpowiedzi na moją deklarację odnoszę wrażenie, że ciemne oczy barbarzyńcy wręcz rozpalają się wściekłym ogniem gorącej nienawiści. Zaś za pleców dochodzi mnie rubaszny rechot Viri, a następnie jej drwiąco wypowiedane słowa:

– Ha! Zdaje się, wypadałoby ci wiedzieć, Avezanie, że to właśnie twoja matka pozbawiła życia, w taki czy inny sposób... wspomnianego tu Grona, ha, ha!

Te słowa na moment wybijają mnie z równowagi i to wystarcza, abym dał się gwałtownie uderzyć otwartymi dłońmi w klatkę piersiową. Od siły ciosu barbarzyńcy lecą do tyłu wprost na piratów Viri. Ona sama odzyskuje powagę, wychodzi przed szereg i ostro krzyczy do Zaga:

– Zamiast mścić się za dawne, wątpliwe krzywdy, proponuję, abyśmy ku obopólnemu dobru pohandlowali! Bo widzę, że nie macie ze sobą kobiet! Za to my... – ucina zdanie, spogląda z ukosa na Nail i przyzywając ją ręką, drwiąco do niej gdaka: – Cip, cip, cip...

– Kimkolwiek jesteście... co chcecie za czarnowłosą o ciemnej skórze i czarnych oczach? – chrypi naraz rozochocony Zag i rozbiera Nail pożądlivym wzrokiem.

– Konie i swobodny przejazd – pada odpowiedź Viri.

– Dwa konie i przejazd – uściśla barbarzyńca. – Tyle możemy dać.

– Dwa... – powtarza kobieta i kiwa mi twierdząco głową, dając do zrozumienia, że w dalszą drogę udamy się już sami, za to na rumakach.

– Zatem mamy umowę – stwierdza raptownie Zag i podchodzi do Nail. Na co dziewczyna siarczyście spluwa mu w twarz i przyjmuję pozycję do walki wręcz: – Podoba mi się – stwierdza z uznaniem barbarzyńca. – Ma zimną duszę, ale gorącą krew. Da mi silne dzieci!

– Nie da... – oznajmiam smętnie i chwytam Nail za rękę. Przecież nie mogę jej sprzedać, jak rzeczy. Nawet gdybym chciał, po prostu nie mogę. – Nie mamy umowy, odejdźcie... – dodaję.

– Że co, że jak?! – chrypi raptem wielce oburzony Zag i wściekle świdruje mi oczy własnymi, to przenosi spojrzenie na swych ludzi, a potem Virię. Ta czyni kwaśny wyraz twarzy i wzrusza obojętnie ramionami. Następnie wyjmuje zza pasa dwa dziwne przedmioty i mierząc z nich do Zaga, lekceważąco oświadcza:

– Ach, ci młodzi i ich skryte przed światem uczucia... Cóż powiedzieć... Ciotka Viria przecież nie stanie na drodze wielkiej miłości! A skoro tak... – Nagle rozlega się w przestrzeni głośny, podwójny huk. Z dziur w parze przedmiotów trzymany przez kobietę unosi się szary dym. Natomiast Zag chwytając się za swą krwawiącą pierś. – Poznajcie moje zabawki, ostatni prezent od czarownika Gabu. Ponoć zwą się pistoletami i są doprawdy wystrzałowe! – Kobieta ostentacyjnie zdmuchuje unoszący się dym.

Z kolei Zag, któremu z ust cieknie strużka krwi, pada na kolana. Odwraca się do swoich oniemiałych z wrażenia ludzi i ostatkiem sił charczy do nich żałośnie:

– Zabić... Zabić ich wszystkich... Zanieść im śmierć.

Barbarzyńcy wahają się chwilę, aż jeden z nich wypuszcza z łuku strzałę, która trafia w szyję dzierżącego szablę pirata. Wraz z tym zdarzeniem, jak na komendę dwie grupy przeciwników zawzięcie skaczą sobie do gardeł.

Sam wyjmuję z pochew dwa krótkie ostrza, które lepiej sprawdzają się w walce z licznym przeciwnikiem na krótki dystans. Podbiegam między konie barbarzyńców i siekam ich po udach, to dosięgam trzewi. Następnie cofam się, aby nie zostać samotnie osaczonym, a po moich bokach dostrzegam innych walczących, w tym piratów z szablami oraz Virię obecnie z tarczą i toporem.

Tymczasem liczniejsi przeciwnicy, choć w pierwszym momencie ponoszą większe straty, to widać, że są wprawieni w oboju. Nie tracą bowiem zimnej krwi i konno zagrządzają nam drogę, zaganiając w kierunku

bystrego nurtu rzeki. I nie mija wiele czasu, a jesteśmy półkolem okrążeńi, mając za plecami wyłącznie wzburzoną wodę.

Przeto chowam krótkie ostrza i zdejmuję z pleców dwuręczny miecz, by wywijać nim zamasyście wprost w potężne łby rumaków. W ten sposób staram się wyciąć drogę i stworzyć wyłom w pół okręgu. Lecz raptem wymierzone zostają we mnie z końskich siodłał miecze i topory.

Paruję kolejne ciosy własną klingą, aż mój miecz zaklinowuje się w zwarciu i przed śmiertelnym uderzeniem w głowę ratuje mnie czyjś topór skrzyżowany z obuchową bronią. Szybko rzucam spojrzenie przez ramię i dostrzegam, iż pomoc przychodzi od Viri. Jednakże kolejny cios młotem bojowym w mój tors sprawia, że zataczając się do tyłu, wpadam na kobietę i razem lecimy prosto do wzburzonej wody.

Od tego momentu rozpoczyna się zupełnie inna walka, a mianowicie ta z siłami bezwzględnej natury. Odrzucam miecz i rozpaczliwie przebieram rękoma, starając się czegokolwiek chwycić. Jednak moje kończyny nieustannie trafiają jedynie w próżnię. Zaś wzrok jest ograniczony przez spienioną wodę. Co raz czuję tylko dotkliwe uderzenia w brzuch o twarde skały.

Aż naraz odnoszę przedziwne wrażenie, jakby rzeka nagle zmieniła kierunek swego nurt w drugą stronę, a jednocześnie znacząco przyspieszyła. Z tą chwilą do moich uszu dochodzi także złowrogi szum, zdaje się wodospadu.

Dociera do mnie, że czas swobodnego spływania z nurtem właśnie dobiega końca i jeżeli zaraz nie zdołam się wykaraskać z wodnych odmętów, to spadnę w przepaść. Dlatego wręcz jak szalony zaczynam młócić rękoma i nogami, aby tylko w jakiś sposób przeciwstawić się kierunkowi rozpędzonej rzeki.

Zachłystuję się kilka razy lodowatą ciecżą, gdy wtem zostaje pochwycony silnie za dłoń i podciągnięty. Chwytam drugą ręką czyjejs kończyny i kolejny raz wypluwając wodę z płuc, ze wszystkich sił staram się podciągnąć. Udaje mi się i to wystarcza, abym wyrwał się wreszcie z wodnej matni i wspierany przez kogoś, wypełznął na płaską, kamienną nawierzchnię.

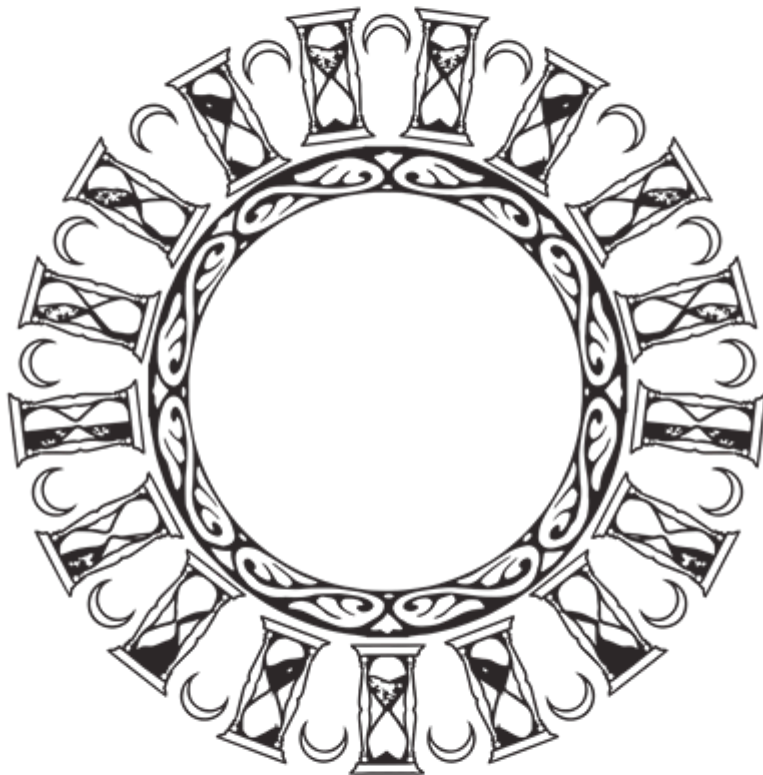
Za chwilę leżę już na plecach, gwałtownie oddycham i spoglądam w poszarzałe niebo. A odzyskawszy nieco sił, z wdzięcznością bezwiednie szepczę:

– Nail... Nail... – Czuję na klatce piersiowej dłoń i przykrywam ją swoją, po czym z uczuciem powtarzam: – Przepraszam, Nail, przepraszam... – Aż do przytomności doprowadza mnie znanymi mi, zgrzytliwy, kobiecy głos:

– Nagle naprawdę pożałowałam, że nią nie jestem, Nail... Trzeba tak było od razu, że jest coś więcej dla ciebie warta. Wówczas zażądałabym za nią co najmniej czterech koni!

Na te szyderczo wypowiedziane słowa siadam gwałtownie i dostrzegam tuż koło siebie wyłącznie przemoczoną Virię. Kobieta przygląda mi się z kąśliwym uśmieszkiem, a ja wiodę rozbieganym wzrokiem po okolicy. Okazuje się, że znajdujemy się na samotnej skale na samym środku wielkiej, rwącej rzeki. Lecz to bynajmniej nie koniec kiepskich wiadomości. Oto na obu brzegach, w różnych miejscach, stoją całe dziesiątki barbarzyńców i przyglądają się nam.

– Witamy w Otchłani! – kwituje rezolutnie widok Viria, po czym wyjmuje zza paska pistolety i zde gustowana wylewa z okrągłych otworów strugi wody.



II. PARTNERKA

– Ja bardzo jest źle? – zapytuje przybity Viri. Tak jak i ona jestem związany za ręce i ciągnięty obok niej za linę przytroczoną do siodła jednego z rumaków barbarzyńców. W taki sposób przemieszczamy się w kierunku północnym już dłuższy czas.

– Jak źle? – podchwytuje z kolei kobieta i o dziwo spokojnie oświadcza:
– Skoro nasi oprawcy jeszcze mnie nie zgwałcili, a ciebie, wykastrowanego, nie wbili na pal, to znaczy, że mają względem nas jakieś ciekawe plany. Tak więc głowa do góry!

– Do góry... – mruczę bez przekonania pod nosem i raz jeszcze ponawiam pełen bezradności krzyk: – Co zrobiliście z pozostałymi! Co z pozostałymi, co z Nail?!

– Odpuść i lepiej oszczędzaj siły – rzuca Viria.

– Niby na co mam je oszczędzać. – Zerkam na nią bez wyrazu. Ona pewnym siebie głosem odpowiada:

– Jakże to, na co. Otóż, młodzieńcze, uciekniemy, tak uciekniemy – utwierdza się w swoich słowach.

– Czyżby...? – wyrażam wątpliwość, patrząc na swoje skrepowane ręce.

– Ależ tak. I ostrzegam, że będziesz się musiał co nieco wykazać na pewnym froncie... – Puszczą mi tajemniczo oko.

– Nie ma sprawy... – mówię markotnie. – W końcu to chyba ja nas w tę sytuację wpakowałem.

– Nie da się ukryć – nie kryguje się kobieta. – I co, warto było? – zapytuje zadziornie.

– Co... był warto...? – Nie jestem pewien, co ma na myśli.

– Jak to, co? Oczywiście odrzucić ofertę sprzedaży niemej niewolnicy za parę rączych rumaków, na których teraz zmierzalibyśmy beztróska do

czarownika Gabu.

– Tak... było warto... – stwierdzam po chwili zadumy. – Nie mógłbym czegoś takiego zrobić Nail, sprzedać jej...

– Ha! A wiesz, że od początku sprawiałeś inne wrażenie, traktując ją jak ostatnią szmatę? Szkoda, że wcześniej mi nie zdradziłeś, jak się sprawy między wami mają.

– I co byś wtedy zrobiła...? – stawiam pytanie, choć nie jestem pewien, czy chcę znać odpowiedź. I rzeczywiście wolałbym jej chyba nie słyszeć.

– Jak to, co?! – krzyczy uciesznie Viria. – Sama puściłabym się z kilkoma barbarzyńcami za rącze rumaki! I nie rób takiej zawstydzonej miny. Twoja matka handlowała już moim ciałem, a potem dowiedziałam się nawet, że w swoim zamku przymknęła oko na dobrze prosperujący burdel Kalilli!

Po dłuższym czasie, patrząc smętnie na dyndający się przede mną koński ogon i bujający zad, w iście wisielczej tonacji wyznaję:

– Jak już wspominałem, nasza obecna sytuacja to moja wina. Biorę to na siebie i cokolwiek będę musiał czynić, aby nas z tego wyciągnąć, zrobię to bez wahania...

Kolejne dni jesteśmy gnani nieustannie w jednym kierunku, aż wkraczamy do gęstej puszczy. W niej przekraczamy bramy jakiejś warowni otoczonej wysoką palisadą. A jak mnie informuje Viria, docieramy do osady łowców niewolników.

Tutaj zostajemy umieszczeni w jednym z budynków najwyraźniej przeznaczonych do przetrzymywania ludzkiego towaru. Mieści się w nim bowiem szereg zakratowanych cel oddzielonych od siebie ścianami. Sami zostajemy osadzeni w jednym z takich pomieszczeń, przed którym stają dwaj barbarzyńcy, najwidoczniej wyznaczeni do pilnowania naszej pary.

Wkrótce zachodzi słońce i światło w niewielkim pomieszczeniu pochodzi już tylko od dwóch pochodni zawieszonych na ścianach poza celą. Oświetlają one surowe oblicza barbarzyńców, do których kokieteryjnie uśmiecha się Viria. A zaraz ściąga ona sobie z głowy kapelusz i wachlując się nim zamasyście, jakby dla ochłody, leniwie oświadcza:

– Ależ tu gorąco... Wręcz cała płonę...

– Tu wcale nie jest ciepło – rzucam obojętnie, co jak najbardziej jest zgodne z prawdą. Jednak kobieta, drocząc się, ściąga z siebie opinający jej talię ciasny gorset i kusząco oznajmia:

– Muszę zdjąć choć trochę ubrania. Robi się aż wilgotne... bardzo wilgotne od mego potu i gorąca... Pomożesz...? – Czyni do mnie zapraszający ruch ręką, a jednocześnie opiera się plecami o kraty. Patrząc na nią coraz bardziej osłupiałą, jak zdejmuje sobie skórzany napierśnik i odrzuca na podłogę, ukazując nagie piersi. – Coś mi obiecałeś, pamiętasz...? – Uśmiecha się uwodząco. W tym momencie, jak grom z jasnego nieba dociera do mnie, co planuje ta obnażająca się postać, mająca za nagimi plecami dwóch pilnujących nas mężczyzn zapewne nieobojętnych na kobiece wdzięki. I natychmiast dochodzę do wniosku, że temu akurat wyzwaniu chyba nie podołam. Lecz przeciw mej woli co raz słyszę coraz bardziej namiętny głos: – Obiecałeś... obiecałeś, pamiętasz...? – I widzę wyciągniętą ku mnie dłoń z lekka przebierającą palcami, przyzywający mnie gest. Aż czynię krok jeden i drugi, po czym naraz z całą siłą wtulam się w półnagie, kobiece ciało i wpijam ustami w szyję. – Och! Nie tak gwałtownie, och! – jęczy w odpowiedzi Viria, po czym odpina sobie pas z wąskiej talii, który opada na podłogę, a potem ściąga spódnicę. Z kolei moja własna dłoń zdejmuje jej przepaskę biodrową i oto postać przede mną stoi wyłącznie w wysokich butach. – Nie mogę już dłużej czekać... jestem gotowa, jestem twoja... – Kobieta wije się, ocierając swe piersi o mnie oraz plecy o kraty. – Ja sam wyglądam ponad jej ramieniem i widzę dwóch coraz bardziej spiętych barbarzyńców. Jeden na drugiego gniewnie łypie ślepiami, aż kiwiają na siebie porozumiewawczo głowami i ruszają do drzwi celi. Otwierają je i wchodzi do środka. Wówczas Viria odpycha mnie lekko od siebie i rzuca w powietrze: – A teraz zrób swoje, ogierze, czyli to, co umiesz najlepiej... Albowiem na moje wdzięki... – Gładzi się namiętnie po piersiach. – Musisz odpowiednio zasłużyć...

Cóż, nie da się ukryć i tak, przyznaję przed samym sobą. Właśnie silnie rozgrzała się we mnie krew, która wręcz buzuje w mych żyłach i napędza do śmiałych czynów. Przeto z zaciętym wyrazem twarzy czynię błyskawiczny piruet i odwijam rękę zaciśniętą w pięść, którą gruchoczę szczękę bliższego przeciwnika. Ten leci przez pół celi i pada jak martwy na podłogę. Zaś ja, z pianą na ustach, skaczę na drugiego barbarzyńcę. Łapię

go za futrzany ubiór na torsie i pcham tak długo, aż mężczyzna zderza się plecami z przeciwległą ścianą. Wtedy uderzam go potężnie czołem w twarz. Następnie wczepiam dłoń w ciemną czuprynę i w twardą ścianę trzaskam czaszką, dopóki ta nie rozłupuje się niczym pełen dzban, z którego wylewa się płynna zawartość.

Po zmasakrowaniu mężczyzny spoglądam gniewnie na Virię. Ona w wyuzdany sposób ociera swe ciało o kraty i wodzi po nich nad wyraz długim językiem. Ten widok jeszcze potęguje we mnie wybuch energii. I to do tego stopnia, że podbiegając do leżącego na podłodze barbarzyńcy ze złamaną szczęką, nie poprzestaję na potężnym kopniaku w jego brzuch, tylko szarpie go za głowę, niemal odrywając ją od podstawy czaszki. Potem uderzam jego twarzą o grunt i podnoszę zakrwawione truchło, by z furią cisnąć ścierwem w leżące w pobliżu zwłoki.

Dopiero teraz staram się ochłonąć. A zanim całkiem mi się to udaje, kuca koło mnie Viria, już ponownie w swym czarnym, obcisłym kostiumie. Dopina ona klamrę od paska i szybko przeszukuje trupy pod nogami. Chwyta za klucze i dwa toporki, z których jeden podrzuca do mnie, otrzymuję od niej także nóż. Sama zaopatruje się jeszcze w jakieś drobiazgi wyłuskane z kieszeni martwych mężczyzn, po czym wskazuje mi drogę na zewnątrz celi. Kierujemy się tam razem i szczęśliwie dostrzegam, że dalsza część skąpo oświetlonej przestrzeni przed nami jest pusta. Mijam z Virią kolejne cele i odprowadzających nas obojętnym wzrokiem zamkniętych tu ludźmi.

Aż naraz zatrzymuję się przed zakratowanymi drzwiami. Zabieram towarzyszącej mi kobiecie pęk kluczy i machając nimi przed więźniami, ostro ich zapytuję:

– Chcecie być wolni?! Bo jeżeli tak, to o swoją wolność będziecie musieli zawalczyć!

– Przestań! – posykuje do mnie ostro Viria i szarpie za ramię. – W otwartej walce nikt nie wyjdzie stąd żywy, a po kryjomu nie uda się uciec licznej grupie. Zatem nie rób im fałszywej nadziei!

W duchu przyznaję kobiecie rację. Dlatego pokornie pochylam głowę i czynię przeproszający gest dłońmi w kierunku więźniów. Następnie idę dalej w kierunku drzwi wyjściowych. Aż tuż koło nich słyszę nietypowe

dudnienie. Spoglądam za kraty ostatniej z cel i zauważam tam postać jakby niezwykle potężnego człowieka, lecz w białym futrze wydającym się integralną częścią tej postaci. Ponadto ta monstrualna istota uderza się pięściami w tors, wydobywając z niego zasłyszany przeze mnie głuchy odgłos. A zaraz rozczapierza ona dłonie, gdzie w jednej z nich brakuje dwóch palców, i wczepia je w kraty.

Przyglądam się tej istocie ni to człowiekowi, ni zwierzęciu naprawdę zaskoczony. Ona rozwiera szeroko paszczę z ludzkimi zębami i ryczy gardłowo, obficie spryskując moją twarz śliną. Wycieram się z obrzydzeniem i jednocześnie do moich uszu dochodzi ponaglące posykiwanie Viri:

– To świetnie, że znalazłeś sobie nowego kompana, ale może innym razem poplujecie sobie przyjacielsko po mordach. A teraz chodźmy!

– Dobrze... – mówię i zwracam się w kierunku drzwi, ale w progu dostrzegam raptem postać osłupiałego barbarzyńcy. Reaguję błyskawicznie, wyjmując nóż i przykładam go do męskiego gardła. Natomiast drugą ręką szarpię mężczyznę ku sobie. Wprasowuję go silnie w ścianę i gniewnie powarkuję:

– Dlaczego nas zatrzymaliście, a nie zabiliście od razu? Co chcieliście zrobić? Sprzedać nas jak zwierzęta?!

– Tnij – syczy z kolei do mnie Viri. Ale ja jedynie silniej przyciskam ostrze do cudzego gardła. A zaraz barbarzyńca z nożem uciskającym mu szyję, z trudem chrypi:

– Dla Gragezona... Dla Gragezona...

– Co dla niego?! – pytam gniewnie.

– Krwawa ofiara z jego ludzkiego brata... i towarzyszki jego matki...

– Po co?! Jaka ofiara?! – Naciskam coraz mocniej zarówno słowem, jak i ostrzem. Gdy wtem Viria uderza zamasyście swoim toporkiem w skroń barbarzyńcy.

– Taka ofiara – kwituje z pogardą kobieta i pluje na osuwającego się po ścianie trupa z rozplataną czaszką.

Lecz równocześnie w progu pojawia się następna para wojowników. Tym razem bez namysłu tnę pierwszego ostrzem po oczach. Niestety o ile

jest to skuteczny cios, bo twarz wroga zalewa się krwią, to jest o tyle niefrasobliwy, że w przestrzeni rozlega się opętańczy krzyk okaleczonego mężczyzny.

Za moment Vira wieńczy dzieło, poprawiając zdecydowanie ciosem topora w głowę rannego barbarzyńcy. Ja zaś chwytam drugiego przeciwnika i popycham go na drzwi celi. Nie mija chwila, a na jego twarzy spoczywają wysunięte przez kraty owłosione dłonie człekokształtnej istoty i czaszka nieszczęśnika zostaje dosłownie zmiażdżona. Jednakże alarm spowodowany niedawnym wrzaskiem już został wszczęty i w zatopionej w mroku warowni właśnie ktoś trąbi donośnie, podnosząc larum.

– Po prostu cudownie... wręcz wybornie... – podsumowuje zrezygnowanym głosem Viria. – W takim układzie możemy równie dobrze wrócić do celi i się tam sami zamknąć... Ciągłe masz ochotę na małe co nieco...?

– Zamilcz kobieto i bądź gotowa – strofuję ją ostro.

– Niby na co?!

– Aby zawalczyć o wolność! – odkrzykuję i otwieram kluczem drzwi do celi z człekokształtną istotą. Ta spogląda na mnie z ogniem w oczach. Jednak zaraz przenosi złowrogie spojrzenie na grupę postaci z uniesionymi pochodniami, przybliżającymi się szybko do więziennego baraku. A zaraz istota ryczy przeraźliwie, uderzając się pięściami w tors, po czym rzuca jak oszalała na wrogów.

Na ten widok i we mnie wrze krew. Dlatego już zmierzam się porwać do walki, kiedy usadza mnie w miejscu ręka Viri na moim ramieniu. Chcę ją zepchnąć z siebie, ale kobieta nie daje za wygraną, tylko gniewnie posykuje:

– Korzystajmy z nowego zamieszania i uciekajmy. To doskonała okazja! Jest jeszcze nadzieja!

– Mamy uciekać, jak tchórze, podczas gdy inni będą ginąć za naszą wolność?! – Wskazuję z pretensją toporkiem na człekokształtną istotę, która z impetem wpada w grupę ludzi i zdzierając wniebogłosy gardło, walczy zajadle z licznymi przeciwnikami. I zaraz ostro dodaję: – Całym sobą czuję, że tej istocie ktoś kiedyś pomimo wszelkich przeciwności pomógł, uratował ją. I my powinniśmy postąpić tak samo!

W odpowiedzi na moje słowa Viria uderza mnie otwartą dłonią w twarz, jakby dla otrzeźwienia i sączy mi jadowicie do ucha:

– Nie bądź bohaterskim głupcem, nie teraz... Ten waleczny włochacz być może został kiedyś ocalony, skoro tak podpowiada ci serce. Ale może właśnie dlatego ciągle żyje, aby obecnie zapewnić nam możliwość ucieczki. Więc chodźmy! Nie ma na co czekać! – Kobieta kończy głosem nietolerującym sprzeciwu i ciągnie mnie z całych sił w kierunku schodów prowadzących na palisadę. Wbrew sobie ulegam i przeklinając własne tchórzostwo, daję się w pośpiechu poprowadzić na obwarowania obozowiska.

Z kolei za naszymi plecami wciąż trwa gwałtowna, chaotyczna walka okraszana przeraźliwymi wrzaskami okaleczanych ludzi, jak i porykiwaniem człekokształtnej istoty.

Na chwilę zastygam w miejscu, całując dwa palce i unoszę je do góry, spoglądając w kierunku walczącego czempiona. Następnie zwieszam się za ręce po drugiej stronie palisady i luzuję uchwyt, po czym spadam z wysokości trzech dorosłych ludzi. Po kontakcie z podłożem turlam się umiejętnie i bez uszczerbku na zdrowiu wstaję na nogi. Po chwili jest przy mnie Viria, która pokonuje analogiczną drogę. Podaję jej dłoń, a nieco obolała po upadku kobieta, dołącza do mnie i puszczamy się biegiem przez zatopiony w mroku nocy las. Odgłosy walki pozostawiamy szybko za sobą, podobnie jak blade światła pochodni z obozowiska.

Aż naraz docieramy nad brzeg rzeki. Staję w miejscu i spoglądam na zdyszana Virię. Ona czyni zdecydowany ruch ręką, wskazując nurt i ciężko sapie:

– Musimy wejść... do rzeki... i z jej biegiem się poruszać...dłuższy czas... W ten sposób zatrzymamy za sobą ślady... zgubimy pościg...

Kiwam głową na zgodę, wchodzę po pas do lodowatej wody i rozpoczynam mozolny marsz. Towarzysząca mi kobieta podąża tuż za mną, dzięki czemu osłaniam ją nieco przed prądem rzeki i ułatwiam stąpanie po kamienistym podłożu.

Aż w końcu od zimnej wody niemal nie czuję już nóg. I przewracając się kilka razy na śliskich głazach, co skutkuje moim całkowitym zanurzeniem, kieruję się do brzegu. Za mną, jak cień podąża Viria. Pokazuje ona, abyśmy

oddalili się jeszcze kawałek od rzeki w gęste zarośla. Czynimy to, a wtedy dochodzi do mnie dygocący, kobiecy głos:

- Drrrwa... Nazzzbierajmy chrustu i rozzzpalmy ogień...
- A pościg? – zapytuję podejrzliwie.
- Nie ruuszają przed świtem.

Wobec tej deklaracji szukam po omacku dłońmi suchych gałęzi. Tych na szczęście udaje mi się znaleźć wiele. Z kolei Viria wyjmuję z kieszeni w swym górnym stroju hubkę oraz krzesiwa, zapewne łup z barbarzyńcy w celi. Nie mija wiele czasu, a rozpalamy okazałych rozmiarów ognisko. Zdejmujemy przemoczoną do cna odzież i wieszamy na gałęziach koło gorących płomieni. Sami siadamy nago tak blisko nich, jak tylko możemy, aby się nie poparzyć i ogrzewając przemarznięte do cna ciała, dochodzimy powoli do siebie.

– Co za noc... – mówi w pewnym momencie, siedząca na grubym pniaku drewna Viria. – Nie pamiętam, kiedy tak ostatnio przemarzałam, a niemal zamarzałam, brrr...

– Mogę dorzucić dREW do ognia...

– Już wystarczy... – stwierdza kobieta. – Jeżeli nas tutaj podpalisz, to będzie równie kiepska alternatywa... Zresztą już jest lepiej, tak, jest lepiej, brrr...

Sam także już zaznaję przy płomieniach nieco ciepła i teraz przysiadam się do nagiej kobiety, aby rozetrzeć jej zimne plecy.

– O tak, dziękuję... słodziutki jesteś... – mówi przymilnie i sama ociera się o moją dłoń oraz ciało, aby uzyskać więcej ciepła. Ja sam spokojnie zapytuję:

– Daleko jest z tego miejsca do naszego celu, do czarownika...?

– W sumie... to cały czas podążaliśmy we właściwą stronę. A zatem już się zbliżamy... – pada odpowiedź.

– Aaa ten Gabu... przyjaciel mojej matki... – zastanawiam się na głos. – Jak to się właściwie stało, że został czarownikiem? Bo mój ojciec, opowiadając mi o ostatnim życiu Anrei, wspominał, że niejaki olbrzym Gabu był jedynie poczciwym kucharzem...

– Hah, prawda – przytakuje Viria, po czym na osobę obecnego czarownika rzuca nieco więcej światła: – Warto ci wiedzieć, że wspomniany grubas był też całkiem niegłupi i lubował się w zgłębianiu wszelakich nauk.

– No tak, jego książka, którą podarował mej matce. – Przypominam sobie o Traktatach Etosa.

– Właśnie. I po tym, jak Anrea haniebnie nas opuściła... po wielkiej bitwie z zastępami Tiry. – Kobieta mrozi mnie na moment wzrokiem. – Po tym wydarzeniu nasz wielki, światły Gabu dowiedział się, że zmarłe dziecko jego partnerki, Adory, nie było tak naprawdę jego, a Exona. To poróżniło tę parę i się rozstali.

– I co dalej zrobili?

– Adora, którą zresztą poznałeś... zajęła się handlem z czasem na naprawdę wielką skalę, używając w swym fachu nieraz niecných sztuczek, a mówiąc wprost, oszustw. Do tego zaczęła trudnić się handlem niewolnikami i w zasadzie wszystkim, co mogło przynieść jakiś zysk. Tak oto stała się panią największej gildii kupieckiej na kontynencie Pendorum, osobą, z którą trzeba się liczyć...

– A Gabu?

– Otóż... Początkowo próbował on założyć uniwersytet w Etos. Ale szło mu to nader opornie mimo hojnych datków od anonimowych darczyńców jak mnie samej czy Adory.

– Miło z waszej strony...

– No jasne... – potwierdza obojętnie Viria i nieco markotnie kontynuuje: – Jednak potem z dnia na dzień słuch o Gabu kompletnie zaginał. Wszyscy byliśmy przekonani, że opuści Pendorum. Wrócił na rodzimą wyspę albo zgodnie ze swym niegdysiejszym pragnieniem ruszył poznawać inne kontynenty, wielki świat. Wszak po latach niespodziewanie odnalazł się on w Otchłani...

– Sam tam wyruszył?

– Tak.

– Odważny człowiek...

– Bynajmniej, wcale... – Uśmiecha się złośliwie Viria. – Ale jest faktem, że nie dość, że tu przybył, to nawet zamieszkał, posiadał niezwykłą moc i stał się kimś naprawdę wyjątkowym. Dlatego, jeżeli podobnie, jak twoja matka, masz jakieś wielce ambitne plany względem Pendorum, to Gabu jest właściwym adresatem, kimś, do kogo powinieneś się zwrócić o pomoc. A ja, nie powiem, chętnie się twemu działaniu przypatrzę. Choć nauczona przygodą z Anreą, nie obiecuję brać w tym dalszego udziału, zrozumiane? – Puszczą mi oko.

– Często go tu odwiedzałaś, czarownika? – powracam do tematu Gabu.

– Przyznam, że kiedyś częściej i nie powiem, wiele na tym korzystałam, otrzymując ciekawe, militarne zabawki. Ale nie tylko to... – Pokazuje na swój oczodół przesłonięty opaską, gdzie raz już widziałam oko odmienne kolorem od drugiego. – Jednak ostatnio – ciągnie kobieta. – Ostatnimi czasy dzieje się w Otchłani dość niespokojnie. Dlatego zaczęłam się pojawiać u mojego Gabu coraz rzadziej. – Przyjmuje dość zadumaną minę i zaraz zaskoczona wypala: – Rety, nie widziałam naszego poczciwego grubasa już chyba z pięć lat!

– Sporo...

– Aha! – potwierdza gromko i spoglądając na swoje nagie piersi, melancholijnie oznajmia: – Czas nikogo nie oszczędza i doprawdy szaleńczo gna. Jeszcze nie tak dawno byłam małym podlotkiem i na kłacie płaska, jak deska. Potem stałam się kobietą i coś tu wypączkowało. A teraz, tylko popatrz na moje cycki, są po prostu olbrzymie, to właśnie znak czasu! – Gładzi się namiętnie po obfitym biuście i zaraz kusząco oznajmia: – Widzę, że rzeczywiście na nie patrzysz, podobają ci się...? – Zamiast odpowiedzi wyciągam dłoń i lekko ściskam kobiecą pierś. – A więc podobają... – Uśmiecha się kokieteryjnie Viria. Oblizuje ze smakiem wargi i rozchyła uda, po czym z żądzą w głosie oświadcza: – Obiecałam ci coś dokończyć... A nadarza się ku temu odpowiednia sposobność, bo przy okazji byś mnie właściwie rozgrzał... Chcesz mnie rozgrzać, całą...? – Ponownie nic nie odpowiadam, a jedynie mocniej ściskam kobiecą pierś. – To jak będzie...? Mam cię prosić... błagać, skamleć u twoich stóp...? Mogę to uczynić, więc...? – Viria szerzej rozchyła nogi i osuwa się na mnie. – Jestem gotowa... jestem twoja... – kusi namiętnie i całuje mój tors. – Ja sam naraz wyłączam swój umysł, wszystkie w nim wątpliwości.

Pragnę po prostu odreagować ostatnie trudy w najlepszy, znany mi sposób i dlatego wręcz rzucam się na kobietę. – Och! Tak! Właśnie tak! Och! – krzyczy Viria, wpijając mi mocno paznokcie w plecy. Ja zaś zsuwam ją z pniaka i przygniatam sobą do ziemi.

Nie mija chwila, a jesteśmy już zespoleni w miłosnym uścisku. Przy czym kochamy się niezwykle gwałtownie, niemal z agresją, zupełnie jakbyśmy naprawdę chcieli się rozgrzać. I nie myślę w ogóle o przyjemności kochanki, a używam jej wyłącznie dla własnego zaspokojenia. Ona pokornie się temu poddaje, będąc niczym bezwolna zabawka w mych rękach. Przeto bez opamiętania uderzam biodrami i wiję się między szeroko rozchylonymi udami kobiety.

Na koniec miłosnego uniesienia ustawiam Virię w pozycji na czworakach. Wciskam jej twarz w wilgotną glebę, a drugą ręką obejmuję pośladki i niebawem otrzymuję to, czego pragnę. Silne spełnienie, wielka przyjemność oraz niewysłowiona wręcz ulga, za sprawą dojrzałego, kobiecego ciała, są moje.

Po wszystkim, z błogim uśmiechem na ustach, staczam się z pleców kochanki. Ona powraca na zajmowane uprzednio miejsce na pniaku i jak gdyby nigdy nic, spoglądając w płomień ogniska, beztrosko oznajmia:

– Tak... tego mi właśnie było trzeba... Słowem nareszcie odpowiednio się rozgrzałam, dziękuję.

– Nie ma sprawy... – mruczę leniwie.

– A jak u ciebie, ogierze, ulżyło...? – podpytuje od niechcienia kobieta.

– Nie narzekam...

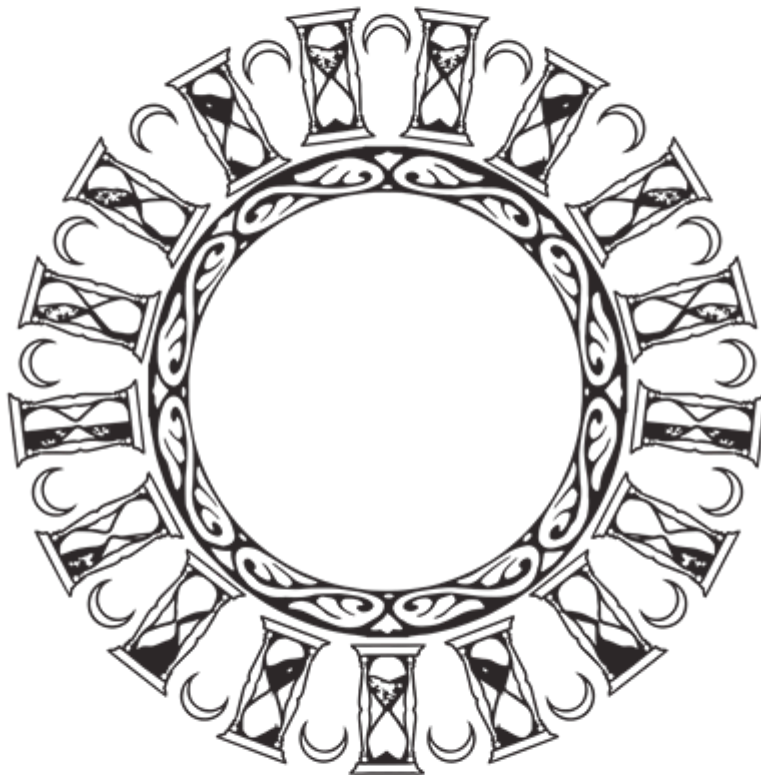
– To się chwali – stwierdza. – Albowiem na ten czas jesteśmy sobie parą wojowników i kochanków zarazem jak gladiatorzy z areny z nadania samej Harremid. – Uśmiecha się lubieżnie. – Rozumiesz...?

– Aha...

– Zatem... oto jam jest teraz twoją partnerką i masz do mnie prawo...

– Będziemy to robić tak po prostu, bez miłości w naszych sercach, jak zwierzęta...? – rzucam w powietrze nie do końca przekonany przedstawioną propozycją. Na co Viria opiera stopę na moim kroczu, wierci nią i kusząco oznajmia:

– Będziemy to robić dla przyjemności, dla przyjemności, ogierze, w tym cała rzecz... Ponieważ być we wzajemnym zespoleniu, w tym jest skryta cała esencja ludzkiej rozkoszy i droga do boskości... Dlatego bierz mnie, kiedy tylko i jak tylko chcesz...



III. ROZKOSZNE ŁZY ANREI

W następne dni, zgodnie z posiadaną przez Virię mapą, podążamy nieustannie na północ. Nie wiemy, czy jesteśmy ścigani czy nie. W każdym razie nie dostrzegamy za sobą pogoni i pieszo poruszamy się z dala od głównych dróg do celu.

W trakcie naszej marszruty mam dość czasu, aby spokojnie zastanowić się nad ostatnimi wydarzeniami i w ogóle swym życiem. Lecz myśli na ten temat w mej głowie nie kłębi mi się zbyt wiele.

Ot wyruszam z wyspy bez nazwy, aby dać zadość marzeniom mej matki o zjednoczeniu kontynentu Pendorum. Z powodu licznych przeciwności losu czasowo porzucam ten zamysł. Jednakże obecnie znowuż czynię na realizację tej idei zakusy, bo cóż mi pozostaje? I w tym właśnie celu zmierzam niestrudzenie po pomoc do czarownika Gabu.

Tymczasem za sobą zostawiam już wielką górę trupów, zaś me serce znaczą prawdziwe blizny. A może ciągle świeże rany? Oto moja miłość, kobieta imieniem Atrix, umiera w mych ramionach wraz z mym nienarodzonym dzieckiem w swym łonie. Z kolei ich zabójczyni, Nail, do której żywię wielce mieszane uczucia, a która nie raz mnie już ratuje, przepada w Otchłani bez śladu. Natomiast teraz moją partnerką staje się o dziwo dawna towarzyszką mej matki. Postać bezwzględna i zepsuta do szpiku kości, lecz szczerą i w jakiś sposób na wskroś prawdziwą. Przez to mam do niej swego rodzaju słabość. A może ulegam jej, ponieważ nie ma obecnie wokół mnie nikogo innego? Nie wiem tego i nie staram się ostatecznie odpowiedzieć sobie na te pytania, ponieważ zwyczajnie nie ufam już sobie. Zatem zostawiam tę kwestię, dochodząc do wniosku, że zwykły upływ czasu niebawem pokaże, jak się naprawdę sprawy mają.

– Cóż moje jedyne oko widzi, ha! Zatem zrobimy sobie mały, aczkolwiek zacny przystanek! – rzuca gromko Viria, spoglądając na

rozpościerający się przed nami wielobarwny kobierzec kwiatów.

– Co to jest... jak i skąd...? – Słowa więzną mi w gardle. Albowiem stoję na ten czas na błotnistej, poszarzałej trawie w okolicy ciernistych krzewów, czyli ściółce, jaką w Otchłani mam pod stopami niemal nieprzerwanie. Podczas gdy przede mną jawi się pejzaż niczym z jakiejś wyśnionej baśni. A zaraz Viria tłumaczy mi powody mego zdziwienia:

– Naprzeciw nas rozpościera się czysta i dobra magia, rzecz absolutnie wyjątkowa w całej Otchłani – oznajmia z pewnym triumfem. – Nie ma tu wstępu śmierć, cierpienie ani żaden grzech.

– Ale... jakim cudem...? – Ciągłe nie mogę uwierzyć.

– Zgodnie z legendą głoszoną przez zamieszkujące tu istoty, Elleonorów, to sprawka twojej matki. – Spoglądam bez przekonania na Virię, a ona ostro kontynuuje: – Przecież wiesz, że nie kłamię! Zgodnie z podaniami krainę Elleonorów uczyniły taką łzy Anrei. Ponoć po swej pierwszej śmierci, zanim się odrodziła jako człowiek, przez moment była jeszcze w pełni Boginią. Wówczas z pozycji szybującego w przestworzach ptaka przyjrzała się piekłu Otchłani, miejscu, które sama stworzyła w swym gniewie i gorzko zapłakała. Tak oto powstała jawiąca się przed nami enklawa! – wypala radośnie kobeta i kusząco szepcze: – Idziemy...?

– Nie dam się prosić... – podejmuję, wydawałoby się, oczywistą decyzję, po czym dziarsko ruszam naprzód, a wraz ze mną Viria. Mijamy niezwykle ukwiecone łąki, a towarzyszy nam słodki świergot ptaków i wielobarwne motyle w przestrzeni gładzonej lekkim, ożywczym wiatrem. Następnie wkraczamy pomiędzy kwitnące złotem, to różem drzewa. I wtedy dostrzegam, że za ich pniakami ukradkiem chowają się jakieś istoty. Moja partnerka również je zauważa, bo zaraz entuzjastycznie do nich krzyczy:

– Ciotka Viria wróciła, słodziaki! I przyniosła ze sobą prezenty!

W odpowiedzi skrywające się do tej pory istoty najpierw nieśmiało wyglądają zza pniaków i spomiędzy konarów drzew. A zaraz podchodzą do nas licznie i ochoczo. Są one średniego wzrostu, dość krępe i nie sposób określić ich płci. Posiadają wielkie, wielobarwne oczy, małe, wąskie usta i takie też nosy. Włosy posiadają długie i kolorowe ułożone w wymyślne

fryzury. Natomiast ich ubiór jest skromny. To wyłącznie nietypowe przepaski biodrowe, podobne do spódnicy Viri.

Przyglądam się Elleonorom z zaciekawieniem, a oni mi i raczymy się nawzajem beztruskimi uśmiechami. W tym czasie Viria wyjmuje ze skórzanej sakiewki kolorowe paciorki oraz szkiełka, po czym wręcza je napotkanym istotom. Te kierują ozdoby ku słońcu i obracają nimi, spoglądając z zachwytem na rozszczepiony pryzmat wielobarwnego światła.

Potem chwytają nas za ręce i tanecznym krokiem prowadzą ze sobą. Docieramy do polany, gdzie na wielkich liściach rozłożone są najprzeróżniejsze, nieznane mi owoce.

– Czas na konkretną wyżerkę... – oświadcza łakomie Viria i z zapalem bierze się do jedzenia. Sam także siadam na trawie i z przyjemnością kosztuję soczystego, słodkiego mięszu rozlicznych darów natury. A niebawem, ocierając lepki sok z ust, stwierdzam:

– Oni, ci... Elleonorzy, zachowują się trochę, jak dzieci...

– Oj nie do końca... nie do końca jak dzieci... – Viria puszcza mi tajemniczo oko i sięga po granatowy napój w wiklinowym naczyniu, które jest uszczelnione liśćmi. Kobieta bierze spory łyk i podaje mi do skosztowania. Czuję to, czując dość cierpki smak w porównaniu z uprzednią słodyczą. A zaraz słyszę rubaszny śmiech Viri, który w mych uszach przyjmuje wręcz karykaturalne tony. I uświadamiam sobie, że i ja się śmieję, czyniąc to już od pewnego czasu. Równocześnie obraz wokół mnie zdaje się wirować. Następnie odnoszę wrażenie, że zasiadam na błękitnym niebie, a zieloną trawę mam nad głową. W ciele zaś odczuwam niewysłowioną lekkość i błogość.

Ta zostaje jeszcze zwielokrotniona, kiedy orientuję się raptem, że jestem nagi i kocham się z Virią, lecz nie tylko z nią. Te dziwne istoty wokół nas również mają usta w granatowym napoju, są teraz pozbawione ubrania i splecione ze sobą w miłosnych uściskach. Niektóre okazują się płci kobiecej, a inne męczyznami. Momentami wypuszczam z ramion śmiejącą się Virię i tonę w morzu innych ciał. To znów na powrót spotykam się z moją partnerką. Łączymy się razem, by dać sobie rozkosz, po czym rozdziela nas prąd z licznych postaci.

Trwa to wszystko, nie wiem jak długo, aż nastaje ciemność i cisza. Przerywa ją jakby nieprzyjemne brzęczenie. W reakcji na to marszczę się na twarzy i odganiam ręką, chcąc trafić zapewne natrętnego insekta. Jednak rozbrzmiewające dźwięki z czasem coraz bardziej przypominają wypowiedane, ludzkie słowa. W końcu brzmią one tak wyraźnie, że nie pozostawiają mi złudzeń. To sączony do mego ucha głos Viri, która stara się mnie obudzić:

– Już czas mój imperatorze sięgnąć po koronę... Czarownik Gabu przyzywa... – W odpowiedzi jedynie błogo się uśmiecham na myśl o mnie, jako wielkiemu władcy. Jednak raptem gwałtownie otwieram oczy, kiedy czuję coś wilgotnego w uchu. – Wreszcie... – oświadcza z ulgą kobieta u mego boku i cofa do swych ust długi język. Ja sam siadam ociężale i równie ślamazarnie zapytuję:

– To wszystko, co się działo... – Uśmiecham się głupkowato na wspomnienie niedawnej orgii i na głos leniwie się zastanawiam: – Ile to właściwie trwało...?

– Jakieś dwa tygodnie... – pada niespodziewana odpowiedź.

– Ile?! – Nagle wytrzeszczam oczy. Dotykam swojej brody i orientuję się, że mam na sobie całkiem bujny zarost. Z kolei Viria klepie mnie przyjacielsko po plecach i rzuca w powietrze:

– Nie przejmuj się, bohaterze. Kiedy pierwszy raz tu trafiłam, to ocknęłam się po miesiącu!

– To nienormalne – stwierdzam nagle całkiem otrzeźwiony.

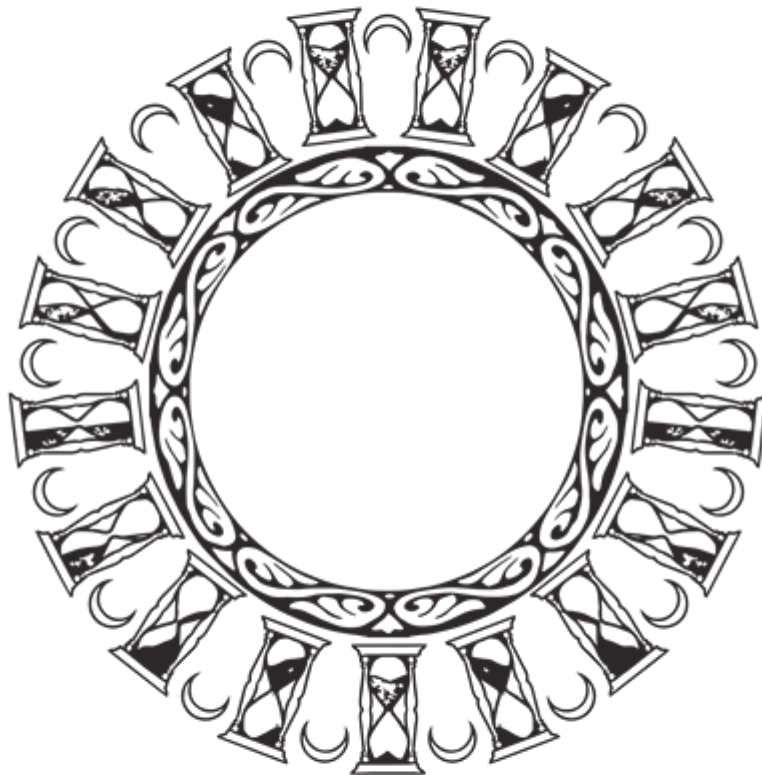
– Z tym się akurat zgadzam... – Kobieta przeciąga się niczym kotka, wyciągając daleko przed siebie górne kończyny. – Gotowy do dalszej drogi...? – dodaje po powrocie do wyjściowej pozycji.

– Ruszamy – mówię zdecydowanie i wstaję na równe nogi.

– Wasza Wysokość, pozwoli...? – Siedząca Viria, podaje mi dłoń, jakbyśmy znajdowali się na uroczystym balu. Silnie podciągam ją do pionu i dopiero teraz zauważam, że jestem częściowo zamoczony w błocie, a wokół towarzyszą mi chłód, brud i żadnych kwitnących roślin.

– Gdzie... gdzie się to wszystko podziało... i te istoty... – pytam na dobre skołowany.

- Wszystko zniknęło – oświadcza rezolutnie Viria.
- Zniknęło? – niedowierzaniem. – Ale jak...?
- Tak po prostu, wyparowało, jak łzy Anrei... – Kobieta wzrusza ramionami. – Ale spokojnie, niewątpliwie ten raj pojawi się gdzieś znowu w Otchłani. Wystarczy, że podczas obecnego żywota nasza mityczna Bogini ponownie gdzieś gorzko zapłacze i uрони swe magiczne łzy...



IV. CZAROWNIK

W końcu nie udaje się nam przemykać całkiem niezauważonymi.

Nadziewamy się na patrol kilku konnych barbarzyńców i dochodzi między nami do szybkiej, gwałtownej walki. W jej efekcie posiadanymi toporkami kładę trupem trzech osiłków, a Viria jednego. Jednak przede wszystkim owocem tej potyczki, poza naszym przetrwaniem, są cztery zdobyczne wierzchowce. Mamy więc rumaki gotowe nas ponieść na swych grzbietach. Ponadto drugą ich parę na zmianę. Dzięki temu niedostępną przestrzeń Otchłani przemierzamy wreszcie w odpowiednim tempie i zgodnie ze znacznikami na mapie szybko zbliżamy się do siedziby czarownika Gabu.

Aż docieramy do niezwykle rozległej równiny porośniętej jedynie zeschniętą trawą. Na jej skraju Viria zsiada z konia i wyjmuje z sakiewki gromadzone przez całą wyprawę atrybuty. Jest to pióro orła i kieł wyjęty ze szkieletu lwa, a także pazur niedźwiedzia, czubek rogu łani oraz kawałek psiej skóry. To wszystko razem kobieta układa na drewniany stos i podpala. Każe mi czekać tak długo, aż z ogniska zostanie jedynie sterta popiołu. Dopiero wtedy oświadcza, że tajemny rytuał został dopełniony i podczas ostatniego etapu podróży nikt ze strażników tutejszych terenów nie będzie nam uprzykrzał drogi.

Słowa Viri znajdują potwierdzenie w tym, że przez kolejne dni nie widzimy na równinnej ziemi ani jednej żywej duszy. Choć w tym złowrogim miejscu można momentami odnieść wrażenie, że towarzyszą nam całe zastępy cieni umarłych. Jednak czy są oni wokół, czy też nie, nie robi to wielkiej różnicy i niebawem osiągamy serce tej wymarłej krainy – bramy niebotycznie wysokiej wieży wystrzeliwującej z olbrzymiej, krągłej i jasnej skały.

– Jesteśmy u celu, czyli Wieży Źródła Bogów, rezydencji naszego czarownika Gabu – oznajmia swobodnie Viria, poklepując po szyi dosiadanego, płowego rumaka. Następnie kobieta bierze sporo powietrza do płuc i składając dłonie przy ustach, grzmi, ile wystarczy jej tchu:

– Witaj, zacny Gabuuu! To ja, Viria! Mam dla ciebie nie lada prezent i to nie jeden! – Macha w górze poplamionymi Traktatami Etosa, którymi zaraz wskazuje na mnie. A wobec braku reakcji, zniecierpliwiona dorzuca: – Nie daj się prosić, Gabu! Wspomnij, że przed twoją bramą stoi osoba, która na własne plecy brała za ciebie bicze Pajosa!

Po tej deklaracji podwójne, żelazne bramy leniwie się otwierają, aż można przejechać pomiędzy nimi konno. Na ten widok kobieta uśmiecha się do mnie znacząco i ruszając do wnętrza, czyni ku mnie zachęcający ruch ręką.

Wjeżdżamy do środka i docieramy do skromnego przedsionka, z którego prowadzą jedynie dwie pary spiralnych, kamiennych schodów, do dołu oraz do góry.

– Teraz czas się trochę pomęczyć. – Viria zeskakuje dziarsko z rumaka i kieruje się ku wyższym kondygnacjom. – No chodź! – Nagli mnie, gdy się ociągam. A już zaraz jej towarzyszę, w końcu przebyłem taki szmat drogi, że obecna zwłoka rzeczywiście byłaby nie na miejscu i nie ma co się krygować.

Jednak czas płynie, mijamy kolejne zawijasy spiralnych schodów i ściany pozbawione okien, a ciągle nie natrafiamy na żadne pomieszczenie. Viria zaczyna zwalniać i coraz mocniej sapie. Aż traci cierpliwość, zatrzymuje się i drze wniebogłosy:

– Nowa sztuczka?! Bardzo zabawna! A teraz przestań rozciągać w nieskończoność te schody! Sam syn mitycznej Anrei przybył, by cię odwiedzić! Wypadałoby się jakoś zachować, nie uważasz?!

Raptem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki schody się kończą zwyczajnymi, drewnianymi drzwiami. Na ich widok Viria burczy jakieś przekleństwo pod nosem i gwałtownie otwiera wrota, po czym wkracza do środka. Ostrożnie wchodzę tuż za nią i naprawdę zaskoczony zastygam w progu.

Oto w niemiłosiernie zagraconej, obszernej komnacie ukazuje mi się niezwykle potężny, gruby mężczyzna w średnim wieku i nie inaczej, tylko unoszący się dumnie w powietrzu na latającym dywanie.

– Witajcie i... wybaczcie, że nie stanę na nogi, żeby się wam należycie uklonić... Bolesne kolana... – oznajmia z rozbijającym uśmiechem na nalanej twarzy, wskazując na swoje skrzyżowane nogi, grube niczym pnie drzewa. Z kolei Viria podchodzi do niego i od niechcienia łapie go za piętę, którą kiwa, co ma zapewne zastępować uścisk dłoni. Ja sam, onieśmielony, pozostaję w progu. Aż czarownik ogniskuje wzrok na mnie i niemal z miłosnym uczuciem przemawia:

– Jest rudy i trochę piegowaty... To niewątpliwie scheda po matce...

– Aha, podobnie jak to, dla ciebie, upominek. – Viria kładzie na latającym dywanie wysłużone traktaty Etosa. Gabu bierze je z wdzięcznością i uśmiechając się co raz, beztrąsko je przegląda. W tym czasie przybyła ze mną kobieta, opada ciężko tyłkiem na miękką pufę i władczo rzuca:

– Wina!

– Służę, ale najpierw... – Nie odrywając wzroku od cienkiej książki, Gabu pokazuje placem na krocze kobiety.

– Ojej, czarowniku! – krzyczy na to ucieszenie Viria. – Mam ci się najpierw oddać za pełną butelczynę? Od tej strony cię jeszcze nie znałam, ale... podoba mi się!

W odpowiedzi Gabu oblewa się pąsowym rumieńcem. Odkłada książkę i spoglądając zawstydzony na mnie, to na kobietę, w końcu z siebie wydusza:

– Wino... Siedzisz na nim. Ono jest pod twoją...

– Moją...? – Viria robi wielkie oczy.

– Pod twoim... – poprawia się już kompletnie zażenowany Gabu.

– Tyłkiem – wypalam, aby zakończyć wreszcie tę komedię pomyłek.

– Aha! – krzyczy na to ucieszenie kobieta, doznając nagłego olśnienia. Wstaje na moment ze swego siedliska, otwiera je i ze środka wyciąga dwie butelki rubinowego trunku. – To lubię, o tak... – stwierdza po wyciągnięciu korka zębami i pierwszym, głębokim łyku. A zaraz, nagle odprężona, zamyka oczy i wydaje się odpoczywać po wysiłku włożonym w

dotychczasową drogę. Niebawem jednak, nie podnosząc powiek, przemawia:

– Masz pistolety, proch i kule, czarownika...? Poprzednie niedawno straciłam...

– Tak, mam, i tyle, ile zechcesz – pada odpowiedź.

– Doskonale... A może podczas mojej dłuższej nieobecności poczyniłeś jakieś postępy w tworzeniu instrumentów śmierci...?

– O tak... I niewątpliwie przypadną ci do gustu. Chcesz przetestować?

– Dawaj – rzuca łapczywie Viria i bierze z butelki kolejny już łyk.

Wkrótce ogląda z uwagą jeden z pary nowych pistoletów w swych dłoniach i kręci korbą umieszczoną pośrodku, gdzie w krągłych szczelinach umieszczonych jest sześć pocisków. – Coś nowego... – zauważa z nietypową dla siebie powagą, po czym celuje w jedną ze skrzyń w pomieszczeniu i jakby głodna, zapytuje: – Mogę...?

– Możesz... W końcu przyprowadziłaś do mnie syna naszej Anrei – mówi z natchnieniem czarownik. – Czego więc mógłbym ci ja, skromny Gabu, odmówić...?

– To strzelam... – Viria przymierza celniej i wywala ochoczo język, dotykając nim niemal swojego nosa.

– Naciśnij spust sześć razy z rzędu... – instruuje Gabu.

– Sześć... – upewnia się kobieta. A zanim padnie potwierdzenie, naciska raz za razem spust i pada szereg głośnych wystrzałów. Natomiast z namierzonej skrzyni odrywają się roztrzaskane listwy. – Tak, tak! Właśnie tak! – drze się w reakcji na eksplozję podekscytowana Viria. – To jest nawet lepsze niż! No wiesz... – Puszczą mi słodkiego całusa, a zaraz przebiera gorączkowo palcami, napełniając ponownie komory nabojami. Z kolei Gabu kieruje się na swym latającym dywanie ku wyjściu i spokojnie oznajmia do kobiety:

– Pocisków i wina masz tutaj pod dostatkiem. Zatem baw się dobrze, a ja zajmę się moim drugim gościem... – Czyni ku mnie uprzejmy gest na korytarz i dodaje do Viri: – Spotkamy się za jakiś czas na obiedzie, bywaj.

Moja obecna partnerka nic nie odpowiada, a ja z czarownikiem zmierzamy już na dół po spiralnych schodach. Za ich kolejnym zawijaszem

Gabu spokojnie oświadcza:

– Wiem, że twoja matka zmarła ponad dwadzieścia lat temu. Ty zaś wiedz, że nieustannie jej poszukuję...

Spoglądam zaciekawiony na Gabu i z nadzieją zapytuję:

– Czy już się odrodziła...?

Na co mężczyzna na latającym dywanie uśmiecha się i łagodnie oznajmia:

– Jako boski syn zaraz sam zadasz te pytania w godnym ciebie miejscu.
– Czyli gdzie?

– Nad Źródłem Bogów – odpowiada tajemniczo czarownik.

Wkrótce razem z nim docieram do dolnych partii schodów, a po drodze towarzyszą nam dochodzące z góry szaleńcze kobiece wrzaski oraz odgłosy wystrzałów. Następnie nie krocymy po niższych stopniach, tylko raptem ukazuje się przed nami przejście do pomieszczenia na parterze. Przekraczamy je i trafiamy do majestatycznej komnaty wykutej w litej skale. Jasne, płaskie powierzchnie pokryte są czarnymi malowidłami pięciu Bogów Pendorum, synów Anrei i Abezzala. Natomiast pośrodku usytuowane jest źródło wody okalane kamienną balustradą.

Zaintrygowany podchodzę do centrum pomieszczenia i z zainteresowaniem spoglądam w ciemną, niezmaconą toń.

– Aby nawiązać kontakt ze Źródłem, musisz zmać wodę – sugeruje Gabu. – Potem po prostu wypowiadaj pytania w myślach i wsłuchuj się w siebie samego, a usłyszysz odpowiedź.

Idę za wskazaniem czarownika i naruszam dłonią klarowne do tego momentu lustro wody. Marszczy się ono niczym skóra starca, ja zaś szepczę w myślach pierwsze pytanie:

– „Moja matka, mityczna Anrea, odrodziła się już na świecie? Czy też jej boska dusza wciąż błądzi, oczekując nowego wcielenia”?

– „Kwiat zakwitł... Owoc już dojrzał...” – słyszę szept w swojej głowie niczym łagodny szmer strumienia. I uśmiecham się wobec tego, co zostaje mi przekazane, bowiem te słowa przyjmuję jako potwierdzenie odrodzenia mej matki, po czym drążę temat:

- „Czy ona jest szczęśliwa, spełniona, obecna Anrea”?
- „Niemal... niemal”.
- „Więc... czego jej brakuje”?
- „Pięciu koron stopionych w jedną. Klątwy dziesięciu grzechów roztopionej w nicość”.

Na te wyznanie ciężko wzdycham. Ponieważ domyślam się, iż całkowite szczęście mej matki zapewne uzależnione jest od zjednoczenia przeze mnie Pendorum. W końcu jej to przyobiecałem, postaci niezwykle bliskiej memu sercu mimo tego, że nigdy nie dane było mi jej poznać. Chyba że...

– „Czy... czy ja sam jestem mitycznym synem Anrei i Zana, ich pierwszym dzieckiem, odwiecznym wybrańcem Allearów, który powrócił na kontynent”? – pytam z pewnym przejęciem i z lekkim niepokojem czekam na odpowiedź. Ta pada po chwili:

– „Co pełnię pojawia się krągły księżyc na niebie. Lecz co jakiś czas, manifestuje się na czarnym nieboskłonie zupełnie nowa gwiazda. Ty jesteś taką gwiazdą”.

– „Rozumiem” – myślę w zadumie i sam nie wiem, czy z tego powodu, że nie jestem mitycznym wybrańcem Allearów, powinienem być zadowolony czy wręcz przeciwnie. Ale szybko idę za ciosem i poruszam inną, palącą mnie sprawę:

- „Nail... ona żyje”?
- „Ten kwiat jeszcze całkiem nie rozkwitł, więc jak mógłby już zwiędnąć”?

– „Dobrze, to dobrze, a więc żyje” – Czuję, jakby wielki kamień spadł mi z serca. A zaraz spinam się w sobie, ponieważ ostatecznie pragnę rozstrzygnąć niepokojącą mnie kwestię pochodzenia wspomnianej dziewczyny:

- „Nail... ta niemowa... Czy ona nie jest przypadkiem odrodzoną, mityczną Anreą, moją... własną matką”?
- „Bogini przeszłości, Bogini przyszłości... Upadek i narodziny. Dwa ciała, a jedna Bogini. Są rozłączne, choć coś je łączy”.

– „One...? Więc to dwie osoby... to dobrze” – myślę tak, bo pewne podejrzenia, że swego czasu kochałem się fizycznie z własną matką, nie brzmiały zbyt atrakcyjnie. Jednak przyznaję, iż nie do końca rozumiem całość przekazu. W związku z czym marszczę brwi i głowię się nad jego dogłębnym znaczeniem. Jednak czuję, że esencjonalny sens gdzieś mi umyka. Dlatego poruszam inne zagadnienie:

– „Arezar i inni Bogowie. Jak można ich zabić, skoro nie ima ich się zwykły oręż”?

– „Wąż kąsa węża, a skorpion skorpioną, tylko jego własnym jadem pokonasz ucieleśnienie Boga”.

– „To znaczy”? – Czekam na jakieś dodatkowe wskazówki, jakiegokolwiek, bowiem na podstawie tych słów doprawdy nie wiem, jak miałbym zgładzić wspomnianych Bogów. Lecz w moim umyśle żadne odpowiedzi się już nie pojawiają. Wobec tego potrząsam dla otrzeźwienia głową i zwracam się z pewnym rozczarowaniem do Gabu:

– Źródło zamilkło, a porozumiewało się ze mną jedynie za sprawą zagadek...

– Czy były trudne...? – zapytuje zaciekawiony czarownik.

– Niektóre dość oczywiste, inne wydawały się zupełnie bez sensu.

– Więc twoim zadaniem jest ich sens odnaleźć – kwituje dobrodusznie Gabu. – Obecnie natomiast, proponuję, chodźmy odnaleźć sens istnienia... w jedzeniu, to jest znamienitej uczcie, hm...?

W odpowiedzi wzruszam tylko bezradnie ramionami i daję się poprowadzić tym razem na dół po spiralnych schodach.

Po dłuższym czasie oczekiwania za suto zastawionym stołem, gdzie Gabu co raz dostawia nowe potrawy, wreszcie zjawia się Viria. Lecz co znamienne nie sama, a niesiona w ramionach przez prawdziwego giganta z gęstym blond zarostem i w kędzierzawych włosach w tym samym kolorze, a także w futrze oraz naszyjnikami z kłów i pazurów.

W pierwszym momencie me dłonie kierują się ku rękojeściom mieczy. Wszak zaraz zauważam, że niesiona kobieta bynajmniej nie czuje się zniewolona. Wierzga uciesznie nogami i wymachuje swą nową bronią, a do tego szeroki uśmiech nie schodzi jej z twarzy. A skoro tak, to puszczam

rękojeści mieczy i patrząc pytająco na Gabu. Ten, wyraźnie zafrasowany, trwa dłużej w milczeniu, aż karcąco zwraca się do stojącego w progu olbrzymia:

– Ambum, synu... Posłałem cię po kryształowe pióra do sadzawki Mętnej Ziemi. Czy nie powinienes być teraz w drodze...?

– Ambum! – oznajmia na to gromko monstrualny młodzieniec. Sadza sobie Virię na przedramieniu w zgięciu łokcia, a drugą ręką zdejmuje z pleców worek i rzuca na kamienny parkiet. Daje się słyszeć zgrzytliwy dźwięk i z otworu w skórzanym materiale wysuwają się przezroczyste, podłużne przedmioty, przypominające do złudzenia pióra wielkiego ptaka.

– Więc już wypełniłeś zadanie... – oświadcza na ten widok Gabu i z pewną ciężkością w głosie dodaje: – Zatem potrzebne będzie jeszcze jedno nakrycie do stołu i podwójna ilość jadła...

Wkrótce gospodarz tego niezwykłego przybytku, ciągle zasiadający na latającym dywanie, nakazuje rozpocząć ucztę. I wszyscy zebrani nie czekamy dłużej, tylko delektujemy się różnorodnymi specjałami, których egzotyczne smaki przyprawiają mnie doprawdy o zawrót głowy oraz niewysłowioną błogość podniebienia. I muszę przyznać, że potrawy smakują wręcz, jak wyczarowane, zaś Gabu naprawdę potrafi gotować.

Z kolei na noc gospodarz wskazuje mi oraz Viri, na prośbę tej ostatniej, tylko jedną sypialną komnatę. W środku rozbieram się i siadam ciężko na łóżku. Także moja partnerka szybko pozbywa się swego odzienia i pozostaje jedynie z otwartą butelką wina w dłoniach i nietypową przepaską biodrową.

– Pozwolisz...? – Wskazuję na trunek. – Kobieta wręcza mi butelkę, czyniąc to z niezwykle kuszącym uśmiechem na ustach. A kiedy biorę pierwszy łyk, Viria klęka pomiędzy moimi nogami i tam też zagłębia głowę. Sprawia to, że robię wielkie oczy, a haust wina w moim gardle jest naprawdę obfity, zaś sam bordowy napój smakuje wyśmienicie, jak nigdy. Po odjęciu go sobie od ust ocieram je dłonią, po czym dalej, już niespiesznie, popijam alkohol. Podczas gdy drugą ręką gładzę kobietę po jej unoszącej się i opadającej głowie.

I tak, w opanowującym mnie stanie czystej przyjemności, snuję swobodnie rozmyślenia, iż wyprawa do czarownika Gabu okazuje się nader

owocna. Poza cennymi wiadomościami zaczerpniętymi ze Źródła Bogów również informacje od Gabu, uzyskane podczas rozmowy przy obiedzie, wydają się interesujące. Zresztą nie tylko same informacje.

Na wieść, że zamierzam zgładzić gniewnych Bogów Pendorum, lecz nie znam ku temu skutecznego sposobu, czarownik obdarowuje mnie pięcioma ponoć magicznymi proszkami, każdy odmiennego koloru. I oświadcza, że jeżeli nasycę zwykły oręż wspomnianymi substancjami zmieszanymi z własną krwią, to niewątpliwie przebije się on przez ciała wspomnianych, boskich istot.

Ponadto Gabu dzieli się ze mną wieściami, że córka i synowie Anrei oraz Abezzala zawierają pakt z istotami z Otchłani, by na ich czele przejąć we władztwach Pendorum trwałe władanie. Tak postąpił już widziany przeze mnie Arezar, a teraz ma uczynić Harremid, która dowodząc rzeszą Isików, zmierza już podobno do księstwa Razzinal.

Do tego uzyskuję wiadomość, że same władztwa nie mogą już liczyć na militarne wsparcie zakonów, ponieważ działanie tych ostatnich zostało zakazane. Stało się tak ze względu na czczenie starych Bogów Pendorum przez wspomniane zakony, czyli z powodu pierwotnej przyczyny postępującego na kontynencie chaosu. Chaosu, który jakimś cudem sam deklaruje się opanować.

Tymczasem moja ostatnia myśl, stanowiąca zarazem marzenie o niepodzielnym tronie imperatora, łączy się ze szczytowym doznaniem, jakim właśnie obdarza mnie klęcząca kobieta. Rozkosz jest niewysłowiona i natychmiast wymiata z mego umysłu do cna wszelkie inne myśli. Przeto pozostaję na łóżku z przymilnym wyrazem twarzy i butelką w ręku. Natomiast Viria oznajmia szorstko:

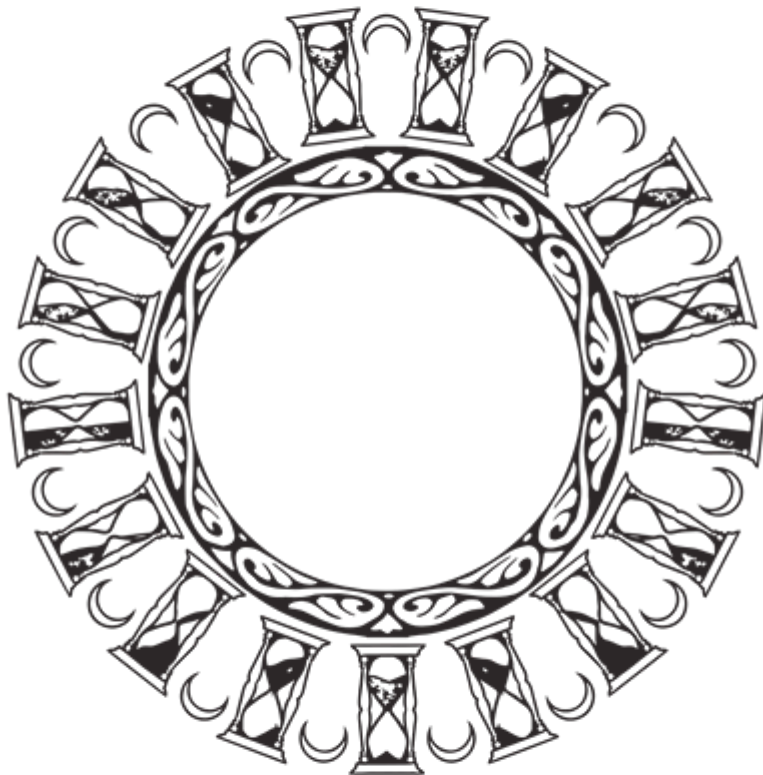
– Skoczyłam, a teraz muszę przepłukać gardło. Chcę wina. – Zabiera mi z ręki butelkę i łapczywie pije prawie do dna. Potem odstawia butelczynę, staje na czworakach na łóżku i wypinając pośladki, z przekonaniem oznajmia: – To dobre wino... A ta noc dopiero się rozpoczyna.

Wobec takiego wyznania stoję tuż za kobietą. Ale kładąc jej ręce na talii, z ciekawością zapytuję:

– Jak to odwiązać...? Tę czerwoną, cienką tkaninę, która ciasno okrywa ci tyłek.

– To nie coś, tylko majtki, a masz je umiejętnie ściągnąć, najlepiej zębami... I jest to prezent od czarownika Gabu.

– Rozumiem... – odpowiadam bez przekonania i przez moment mocuję się z egzotycznym dla mnie ubiorem. Na szczęście skutecznie. Zaś już niebawem zapowiedź mojej kochanki o upojnej nocy, jak najbardziej staje się faktem. Doświadczam tego szczególnie intensywnie, gdy leżę na łóżku, a ubrana jedynie w kapelusz na głowie Vira siedzi na mnie okrakiem i krzyczy namiętnie, co raz wystrzeliwując z pary rewolwerów.



V. NOWY KOMPAN

Nazajutrz opuszczam z Virią siedlisko czarownika Gabu, który sam siebie nazywa odkrywcą dawnej wiedzy czerpanej z ksiąg wyhandlowanych od niejakich Isików. Tak czy inaczej, osobiście liczyłem, iż to spotkanie stanie się w jakiś sposób moim drogowskazem w dalszej życiowej drodze. Także, że dzięki niemu uzyskam stosowne środki do realizacji mych celów. I się bynajmniej nie przeliczyłem. Dlatego obecnie zmierzam z moją partnerką na północ do księstwa Razzinal wręcz natchniony spokojem.

Wiem, co mam czynić i posiada ramy tego, jak to osiągnąć. Więc czas zwyczajnie wypełnić me przeznaczenie, a po drodze po prostu żyć. Żyć pełnią życia, nie oglądając się na boki i czerpać z niego tyle, ile się tylko da.

Myśląc tak, spoglądam na jadącą koło mnie ponad czterdziestoletnią kobietę, która zrzędzeniem losu staje się zarówno moją oddaną towarzyszką broni, przewodniczką, jak i kochanką. I może nie jest ona z byt urodziwa, nie posiada oka oraz małego palca u dłoni, a najlepsze lata ma już za sobą. Ale za to jest w niej jakaś wyzwolona dzikość, która mnie na swój sposób pociąga. I bynajmniej w naszej relacji wcale nie przeszkadza mi to, że nie łączy nas żadne głębsze uczucie. Odkrywam, że to również daje mi swego rodzaju wolność. A mianowicie nie mając tej osoby w sercu, nie muszę się nią zanadto przejmować...

– Ugryzłaś mnie! – rzucam z wyrzutem, oddychając głęboko koło wznieconego na noc ogniska, po skończonej właśnie miłości.

– Ciesz się, że niczego ci nie odgryzłam, ha! – dopowiada wyzywająco Viria, przez której ciało ciągle przechodzą dreszcze rozkoszy i wyjaśnia: – Kiedy wspinam się na sam szczyt przyjemności, nie panuję nad sobą, chyba już zauważyłeś?!

– Zauważyłem... – odpowiadam smętnie, ocierając krew z ucha. – Dlatego wolę, kiedy zatrzymujesz się ze swoją przyjemnością gdzieś w połowie drogi. Innymi słowy, może nie wspinaj się aż tak wysoko, kiedy się kochamy...

– Więc co, mam może kończyć sama ze sobą?!

– To już nie moje zmartwienie... – oznajmiam obojętnie, gdy raptem dostrzegam, że ktoś nad nami stoi.

Reaguję błyskawicznie, rzucając się na jego nogi, aby obalić go na ziemię. Ten jednak trwa w swej postawie twardo niczym skała i za nic nie daje się ruszyć. Wobec tego odtaczam się zwinnie do mego ubrania, przy którym leży mój oręż. Chwytam dwuręczny miecz i skacząc, wykonuję od razu cięcie po skosie w klatkę piersiową przeciwnika. Jednak me ostrze napotyka opór w postaci młota bojowego w rękach niesamowitego olbrzyma. I już chcę poprawić atak, ale raptem rozpoznaję w sylwetce naprzeciw coś znajomego. A potem słyszę znane już sobie imię i tubalny głos:

– Ambum!

Kolejna zaś drze się z wyrzutem Viria:

– Co za podglądacz! Przypełzłeś tu aż ze Źródlanej Wieży, aby nas podpatrywać?! – A zaraz kobieta radykalnie łagodzi ton i ujmując swoje obfite piersi w dłonie, kokieteryjnie dodaje: – A może chciałeś popatrzeć tylko na mnie, hm...? To dla mnie tu przybyłeś...? No powiedz, nie wstydź się...

– Ambum! – powtarza tylko ze zdwojonym entuzjazmem mężczyzna. Na co Viria, uśmiechając się lubieżnie, grozi mu palcem: – Oczywiście, że jesteś tu dla mnie... I jak ci się podobam, tak, jak mnie Bogini Matka stworzyła, hm...?

– Ambum! – pada ogłuszająca odpowiedź. Ja sam lekceważąco rzucam kobiecie na głowę jej ubranie i już uspokojony, leniwie oświadczam:

– Ubierz się i nie rób sceny.

– Kiedy noc jest całkiem gorąca w tak licznym, męskim gronie... – Wodzi wzrokiem po mnie, to drugim mężczyźnie, ale jednocześnie niespiesznie przywdziewa ubranie.

Osobiście oddycham z wyraźną ulgą, rad z tego powodu, że nieoczekiwane spotkanie z synem Gabu nie kończy się oczekiwaną przeze mnie krwawą jatką, a jedynie nakryciem nas na miłosnych igraszkach. Następnie spokojnie zwracam się do olbrzymiego mężczyzny, który mimo swej monstrualnej postury zachowaniem przypomina trochę dziecko:

– Ojciec wie, że za nami podążyłeś? A może masz nam coś jeszcze przekazać? Wieści albo magiczny przedmiot?

– Abmum! – powtarza jedynie gromko przybysz i dumnie unosi swój młot bojowy. Wobec tego patrzę na niego trochę zakłopotany, zastanawiając się, co dalej czynić z dodatkowym kompanem. Aż naraz ubrana już Viria podchodzi do olbrzyma i odważnie rzuca w powietrze:

– Ja spróbuję! – Wspina się na palcach i opiera o syna Gabu. On nachyla się nisko ku kobiecie i ta szepcze mu coś do ucha. Następnie to olbrzym przykładą usta do ucha kobiety. A zaraz potem rozradowana Viria wypala:

– Ha! Otóż nasz Ambum właśnie uciekł z domu!

– Że co?! – Wybałuszam oczy.

– A tak! Ma on już dość Otchłani i bycia ciągle na posyłki tatusia! Podobno prychnął już nimi, ja niegdyś kaszką na mleku dzień w dzień wpychaną mu chochlą do ust przez Adorę!

– I... co w związku z tym...? – Mam coraz bardziej niewyraźną minę.

– Ano to, że nasz Ambum pragnie dołączyć do nas i uratować z nami świat! Zatem witamy na pokładzie! – Kobieta klepie z całych sił wielkoluda w zwaliste pośladki.

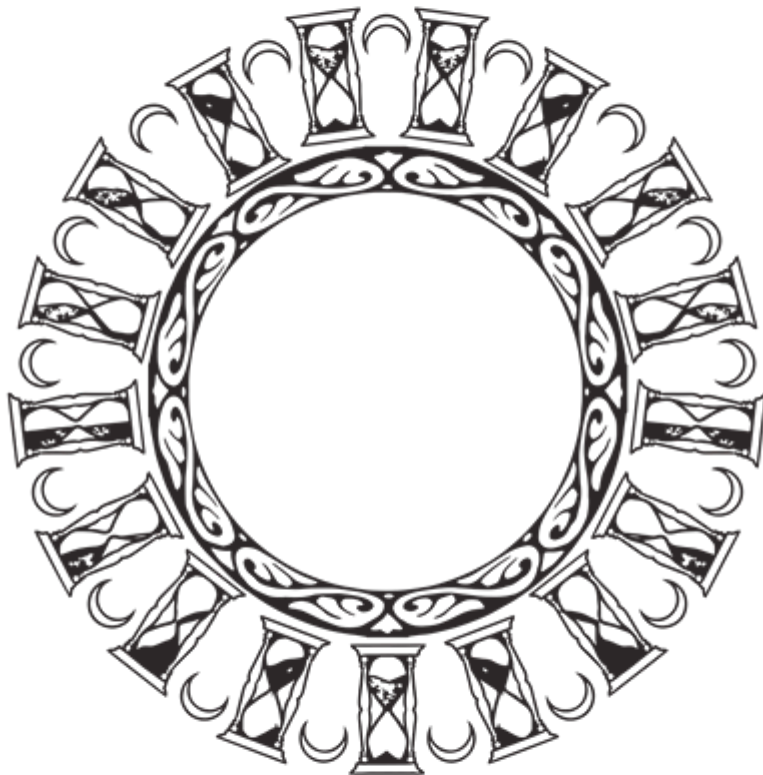
– Witamy... na pokładzie... – mruczę bez przekonania. Lecz zaraz myślę, że w sumie czemu nie. W końcu dołącza do nas jeden wojownik, a odnoszę wrażenie, iż w sile bojowej wystarczy za cały oddział. Dlatego już swobodnie dodaję:

– Skoro jest nas teraz trójka, to możemy skrócić nocne warty. Połóżcie się spać, a za jakiś czas jedno z was obudzę.

– Ha! To się nawet dobrze składa, abyśmy położyli się razem! – krzyczy uciesznie Viria.

– A to niby dlaczego...? – udaję zainteresowanie. Z kolei kobieta obejmuje silnie syna Gabu i wręcz szaleńczo z siebie wyrzuca: – Czy

wspomniałam już, że Ambum wyjawiał mi przed chwilą, że się we mnie szaleńczo, bez pamięci zakochał?!



VI. KU PRZEPAŚCI

Odkąd dołącza do nas syn Gabu, Viria nieco stroni ode mnie i systematycznie coraz więcej czasu spędza z mężczyzną imieniem Ambum. Ten, wbrew moim początkowym obawom, potrafi wypowiadać nie tylko swoje imię. Lecz jak się okazuje, jego mowa ogranicza się, zdaje, wyłącznie do imion. I tak często słyszę koło siebie tubalny głos „Ambum”, nieco rzadziej „Viria”, a sporadycznie „Avezan”. Jednak to, co najbardziej wyróżnia syna Gabu poza jego sposobem wypowiedzania się oraz niebotyczną posturą, to zwierzę, jakiego dosiada. Nie jest to bowiem koń, a najprawdziwszy w świecie potwór – krwawoczerwony xeratoks.

Od swego ojca słyszałem, że tego zwierzęcia nie da się oswoić, więc być może jestem po prostu świadkiem jakichś magicznych praktyk. Tak czy inaczej, nie da się ukryć, że za sprawą xeratoksa nasza mała kolumna jeźdźców prezentuje się dość niezwykle. A ostatnio najczęściej wygląda ona tak, że z przodu podąża właśnie Ambum, obejmujący na bestii Virię. Za nimi z kolei jadę ja sam oraz na postronku przywiązany do mego siodła koń wspomnianej kobiety.

Natomiast wszystkie te zwierzęta w roli wierzchowców zostają na pewien czas spętane w miejscu i przez nas pozostawione bez opieki. Zgodnie z wolą czarownika Gabu mamy bowiem udać się na niewielką pustynię, pośrodku której znajduje się pewne niezwykle drzewo-szamanka.

Zanim wyruszymy w pieszą podróż, Viria powtarza rytuał z paleniem na popiół części zwierząt, a w tym wypadku kawałka mięsa i kości. Oświadcza, że to niezbędna ofiara, aby przebyć najbliższą drogę tam i z powrotem bezpiecznie.

I rzeczywiście w trakcie podróży po pustynnym piasku nie napotykamy żadnych przeszkód. Za to jeżą mi się wręcz włosy na głowie, kiedy Viria, wskazując na swój oczodół i niekompletną dłoń, opowiada, w jaki sposób

straciła te części ciała. Potem dane mi jest zaznajomić się osobiście z drzewem-szamanką.

Wchodzę do dziupli, gdzie niczym węże wiją się po ziemi korzenie, a w górze miarowo dudni, jakby skórzany worek przypominający serce. Następnie, aby dać zadość woli Gabu, nacinamy ostrzami nasze dłonie i skraplamy krwią ciemną glebę. Jak mówi Viria jest to pożądana przez drzewo-szamankę ofiara, a zarazem pożywka, za której sprawą produkuje ono żywiczną krew – cenny surowiec, z którego korzysta między innymi właśnie Gabu.

Przy okazji moja partnerka wspomina, że po jej okaleczeniu, wszystko, czego pragnęła, to z zemsty spalić tę niezwykłą ni to roślinę, ni istotę. Lecz zaraz wyjaśnia, że z wiekiem człowiek mądrzeje i w miejsce ślepej zemsty potrafi dostrzegać liczne korzyści. Tak oto Viria, po odrodzeniu się drzewa-szamanki, przez pewien czas sama pośredniczyła w handlu wymiennym, pomiędzy tym czymś, w czego wnętrzu się znajdujemy, a istotami pożądającymi żywicznej krwi. I tą drogą dorobiła się majątku, który przyczynił się do zbudowania przez nią wymarzonej, pirackiej floty.

Analogicznie ponoć także Adora odstąpiła od pragnienia zemsty i weszła w bliskie konszachty ze swym dawnym gwałcicielem, a znanym mi ohydny Pajosem. Wykorzystała jego wiedzę, bezwzględność oraz znajomości, aby odbudować świetność podupadającej szkoły Artusa i z walk gladiatorów czerpać znamienne profity.

W podsumowaniu Viria zaznacza, że to właśnie ostatni czyn mojej matki wpłynął najbardziej na późniejsze, takie, a nie inne zachowanie jej dawnych kompanów. Wszyscy oni bowiem liczyli, iż Anrea nie popełni żadnego z dziesięciu głównych grzechów, poniecha pomsty i pełna światłych ideałów w pokoju zjednoczy Pendorum. Ona jedna zawiodła, zabijając w zemście cesarzową Tirę. A wówczas każdy z jej kompanów w pewien sposób przejrzał na oczy. Doświadczyli na sobie błędu samej Bogini i w swym życiu zdecydowali się nie powielać jej drogi. Od tego czasu ich działania znaczył bezwzględny pragmatyzm, a odwrócili się od impulsywnego działania, jak i wyższych ideałów, widząc w nich źródło kłopotów.

Na koniec swoich wywodów Viria wbija szpilę jeszcze mi samemu, oznajmiając mianowicie, że z nami koniec. I ma nadzieję, że dobrze się z

nią bawiłem. Lecz jeżeli odnosiłem wrażenie, iż była ona moją zabawką, było to mylne złudzenie. Stwierdza dobitnie, że to ona sama, tak jak miała ochotę oraz na ile, się ze mną zabawiła. Obecnie natomiast zostaje partnerką Ambuma.

Przyjmuję te słowa z dość cierpkim wyrazem twarzy i odczuciem nieprzyjemnego ucisku w gardle. Przyznaję też, iż rzeczywiście traktowałem tę kobietę poniekąd, jak swoją własność i narzędzie do sprawiania przyjemności. Dlatego teraz tym bardziej jest mi trudno zaakceptować jej harde słowa i bytność w obcych ramionach.

Jednakże skoro tak się sprawy mają, to na ten czas coraz smętniej wlokę się na rumaku w kierunku północy i zwiększam dystans od parskającej śmiechem Viri siedzącej na xeratoksie z wojownikiem Ambum. Zaś w nocy zmuszony jestem słuchać jej niewymownie namiętnych jęków i pokrzykiwań w ramionach nowego kochanka.

Zaiste ogarnia mnie w tym momencie prawdziwe zrezygnowanie, aż próbuję zagłuszać te dźwięki, wpychając sobie moje już całkiem długie, rude włosy do uszu. Lecz jednocześnie powtarzam do siebie w duchu, że do Srebrzystych Gór widocznych na mapie ze skóry jest już naprawdę blisko. Natomiast po ich przekroczeniu powrócimy do cywilizowanego świata, gdzie nastąpi zupełnie nowe rozdanie. Innymi słowy, nie będę już skazany jedynie na towarzystwo Viri oraz syna Gabu u mego boku.

Tymczasem choć nieprzerwanie unikamy głównych traktów, to żeby skutecznie poruszać się na wierzchowcach, korzystamy z pobocznych ścieżek. I coraz częściej dostrzegamy na nich ślady kopyt i to naprawdę licznych. Z czasem do tego stopnia, że można by odnieść wrażenie, iż niemal wszystkie istoty Otchłani ruszyły ku Srebrzystym Góróm i księstwu Razzinal. A może być w tym wiele prawdy, zważywszy na złowrogie zapowiedzi czarownika Gabu o dalekosiężnych planach dawnych Bogów Pendorum w postaci dzieci Anrei oraz Abezzala.

Aż pewnego razu nadziewamy na liczny oddział odzianych w futra barbarzyńców. Ci, widząc potężnego xeratoksa na naszych szeregach, mimo przewagi liczebnej nie decydują się do nas zbliżyć i odjeżdżają. Niebawem jednak kolejne śledzące nas wzrokiem istoty dostrzegamy na pobliskim

wzgórzu. Inne obserwują nas bacznie zza rzeki. W ten sposób atmosfera wokół nas się coraz bardziej zagęszcza.

W końcu, w popołudniowej porze, Vira, która obecnie dosiada własnego rumaka, wstrzymuje go i gestem dłoni przyzywa do siebie mnie oraz syna Gabu. Następnie wywraca swe jedyne oko do góry, jakby z góry zakładając, jak zareagujemy na jej słowa i ostro wypala:

– Wracamy.

– Dokąd? – pytam naprawdę zaskoczony.

– Ambum! – pada gromki okrzyk, cokolwiek miałby on w tych okolicznościach oznaczać. Z kolei kobieta czyni kwaśną minę i niespiesznie wyjaśnia:

– Chyba wszyscy już zauważyliście, że robi się tutaj coraz tłoczniej, zupełnie jak przed wstępem do Koloseum w Etos na święto Arezara. – Spluwa z pogardą przez ramię. – Ale teraz to jeszcze nic – dodaje szorstko. – Kiedy dotrzemy do Srebrzystych Gór, wszystkie te okoliczne drogi i dróżki zawężą się do kilku przełęczy. Tam to dopiero będzie ciasnota. Zapewne niczym do nowo otwartego przez Kalillę burdelu w Rakus. Ha! Byłam, widziałam! I skorzystałam, a co... – Kobieta ponownie wywraca oko do góry. Lecz ja sam, mimo wszystko, zamierzam pozostać przy swoich planach, oznajmiając:

– Jeżeli chcesz, to zawracaj. Mogę pokonać ostatni odcinek drogi w pojedynkę.

– Czyżby?! – wyraża wątpliwość Viria i ciągnie dalej: – Stawiam jednak, że jeśli tylko spuszczę cię z postronka, to pobiegiesz prosto na rzeź, jak pierwsza lepsza, głupia owca – kpi bezczelnie.

– Avezan! – rozbrzmiewa raptem głos Ambum.

– Tak, Avezan, głupia, nieroztropna owca! – szydzi dalej kobieta i posyła całusa do syna Gabu.

– Naprawdę cię to interesuje, co się ze mną stanie? – Patrząc rozmówczyni w oko, mówię tak lekceważąco, jak tylko mnie na to stać. Ona to właściwie odbiera i w podobnym tonie odpyskuje:

– Oj, chłopaczek się mazgai, bo ciotka Viria odjęła go od swego namiętnego cycka. Cóż, nic nie poradzę, że zagustowałam w prawdziwej

męskości wojownika Ambum, która to odpowiednio dogadza mej kobiecości... Nawet nie wesz, jak dobrze do siebie pasują, ha!

– Chyba nawet nie będę się próbował domyślać... – Spoglądam z niechęcią na wojownika, a potem wspólnie przenosimy wzrok na krocze Viri. A wtedy syn Gabu niespodziewanie wypala:

– Pindżałka!

– Pin... co...? – zapytuję, marszcząc się niemiłosiernie na twarzy. Natomiast kobieta, udając zawstydzoną, naciąga sobie niżej spódnicę i dumnie odpowiada:

– Oto moja kobiecość doczekała się własnej nazwy. Czuję się jak nigdy, doceniona i zaszczycona zarazem, ha! I jak tam, pożera cię zazdrość...?

– Jadę dalej... – rzucam tylko z wymuszoną obojętnością. Na co Viria raptem uzbiera się w parę rewolwerów i celując w moją stronę, posykuje:

– Nie ruszaj się.

– Jesteś szalona... – cedzę skołowany przez zęby. – Co ty w ogóle zamierzasz, może się wreszcie zdecyduj? Wspierać mnie czy też zabić...?

– Viria! – grzmi naraz Ambum

– Zamknij się – karci go kobieta.

– Avezan!

– Powiedziałam, milcz.

– Pinżdżałka!

– Tak już lepiej... – stwierdza zadziornie Viria, przymierzając w moim kierunku dokładniej i raptem pada seria naprzemiennych wystrzałów z pistoletów.

Przeszywa mnie dreszcz, aż zamykam oczy. A kiedy je otwieram, aby dostrzec krwawiące rany w moim ciele, zauważam, że nic mi się nie stało. Jednocześnie za moimi plecami rozlegają się bolesne jęki. Spoglądam przez ramię i widzę w zaroślach przy drodze kilku pełznących z trudem zakrwawionych barbarzyńców. A wskazując na nich bronią, Viria nerwowo krzyczy:

– To dopiero przystawki, reszta osacza nas ze wszystkich stron! – I rzeczywiście, rozglądając się, dostrzegam za nami znaczącą grupę

jeźdźców, innych po drugiej stronie płynącej koło nas rzeki. A naraz kobieta spina ostro rumaka i rzucając się do ucieczki, wydaje komendę: – Za mną!

– Viria! – Galopuje w ślad za nią Ambum. Osobiście nie widzę specjalnie innego wyjścia, jak podporządkować się przywództwu aroganckiej kobiety, która zapewne właśnie uratowała mi życie. Dlatego gnam byle szybciej za oddalającą się parą. Z kolei sam jestem już ścigany, jak zauważam, przez całą hordę wściekłych barbarzyńców.

Wąska, bita droga wije się pomiędzy sporych rozmiarów rzeką, a niezbyt wysokim pasmem wzniesień. Jednak płynąca woda nie wygląda na dość płytką, aby można ją było swobodnie sforsować. Natomiast wzgórza są zbyt strome i porośnięte zaroślami, co uniemożliwia szybkie pokonanie ich grzbietu konno. Nie mamy więc wyboru i ścigani, gany co sił do przodu.

Aż w pewnym momencie na wzniesieniu pojawiają się ludzie z olbrzymimi głazami i spychają je prosto przed drogę naszego przejazdu, która zostaje dokładnie zablokowana. Dlatego gwałtownie się zatrzymujemy i patrzymy po sobie nawzajem, jaką teraz obrać taktykę. A mamy się czego obawiać, bowiem pogoń w sile kilkudziesięciu jeźdźców zaraz wpadnie prosto na nas. Z kolei ze wzgórza szyje do nas z łuków kilkunastu piechurów.

– Ambum, szarżuj! – Viria wskazuje synowi Gabu kierunek samobójczego ataku prosto na atakującą nas konnicę. Ten wydaje się nie znać strachu. Zawraca xeratoksa i unosząc do góry młot bojowy, wyrывa dziarsko wprost na atakujących barbarzyńców.

W tym czasie sam zeskakuję z rumaka i chowam się za jednym z głazów przodem do rzeki, aby osłonić się przed świszczącymi strzałami. Podobnie czyni Viria, kryjąc się za drugim z wielkich kamieni. Lecz dodatkowo przymierza ona z pistoletów w kierunku, gdzie galopuje Ambum. A gdy dociera on do gromady wrogów, kobieta raz po raz wypala z rewolwerów. W efekcie trafia ona rumaki oraz jeźdźców, którzy padają z impetem na drogę, a w sam środek pozostałych wpada z niewypowiedzianą furią Ambum na swym czerwono-krwistym potworze. Tratuje on kilka zwierząt i rzuca z ich siodeł barbarzyńców, po czym wywiązuje się tam wściekła walka wręcz. Syn Gabu wymierza zamaszyste ciosy młotem bojowym, z

łatwością rozłupując cudze czaszki niczym owoce dojrzałych arbuzów. A w sukurs idzie mu jego wierne zwierzę, kopiąc racicami i masakrując szponami rumaki, to wystrzeliwuje ono przed siebie długi jęzor i dusi nim przeciwników lub rozszarpuje zębiskami.

Jednak niebawem do łuczników na górze dołącza kilkudziesięciu piechurów w grubych futrach i z bronią białą. Wznoszą oni wściekłe okrzyki bojowe i rzucają się jak w amoku do frontalnego ataku.

W odpowiedzi Viria wychyla się zza zasłony i krocząc do tyłu ku rzece, skutecznie ostrzeliwuje barbarzyńców pędzących pieszo do walczącego Ambum. A dodatkowo część atakujących piechurów zwabia ku sobie. Wówczas i ja wkraczam do akcji.

Wyjmuję z pochew dwa krótkie miecze zdobyte niegdyś na barbarzyńcach wraz z dwuręcznym ostrzem i rumakami. Następnie wyczekuję na odpowiedni moment i kiedy Viria ponownie ładuje broń nabojami, wyskakuję zza głazu tuż przed naszych wrogów.

Czyniąc wślizg, rozcinam pierwszemu barbarzyńcy pachwinę i pozostawiam go za sobą, aby się wykrwawił. Potem z pozycji nisko na kolanach równocześnie zatapiam czubki mieczy w brzuchach dwóch zaskoczonych wrogów. Wstaję pomiędzy nimi i podwójnym uderzeniem w karki niemal ścinam im głowy. Z innym roslym barbarzyńcą krzyżuję klingi i zostaję odepchnięty do tyłu. A zanim ponownie naprę na przeciwnika, zza pleców dochodzą mnie głośnie wystrzały i jeden po drugim barbarzyńscy wrogowie padają przede mną jak rażeni piorunem. Aż pociski w magazynkach rewolwerów Viri się kończą, a ja, po chwili wytchnienia, przezbijam się na broń o dłuższym zasięgu, dwuręczny miecz i eliminuję przeciwników, trzymając ich jednocześnie na dystans.

Zyskuję przez to na czasie, aby dać szybkostrzelnej kobiecie możliwość naładowania pistoletów. Lecz nie wiadomo czemu, ciągle nie dochodzą do mnie odgłosy wystrzałów. Dlatego zerkam przez ramię i raptem widzę wspomnianą kobietę walczącą za pomocą toporka oraz tarczy z całą armią zmoczonych wrogów, którzy właśnie wyszli z rzeki. Zaś tuż za nimi przybywają tam już kolejni.

Patrzę na to wręcz zdruzgotany, na osamotnioną Virię, którą zaraz niechybnie dosięgnie śmiertelny cios ostrzem bądź młotem bojowym. Aż

naraz w tłum ociekających wodą wrogów, wpada z impetem jakieś czerwone monstrum i posyła barbarzyńców w kołowrotku na boki. Sama Viria zostaje odrzucona do tyłu i pada na kolana tuż przy mnie.

W jej niespodziewanym wybawicielu dostrzegam wojownika Ambum. Zeskakuje on z xeratoksa i z nadzwyczajną łatwością dosięga raz za razem swym dalekosiężnym orężem wrogów. Lecz jego xeratoks już dogorywa. Z licznych ran leje się z jego ciała obficie zielona wydzielina, ma ucięty jęzor, który zwisa mu z paszczy, gdzie widać pokruszone zęby, a w jednym z oczodołów tkwi głęboko oszczep.

Nie oglądam dalej tej walki, tylko próbuję pomóc Viri podnieść się na równe nogi. Ona jednak mnie odpycha, ociera krew z twarzy i z pozycji na klęczkach pokazuje na szczyt wzgórza skąd schodzi nieprzeliczona armia humanoidalnych istot z głowami niedźwiedzi. Zauważam, że stają one także po drugiej stronie rzeki, jak również na obu krańcach drogi, gdzie się znajdujemy. Słowem zostajemy otoczeni.

Za chwilę swoje ostatnie tchnienie wydaje śmiertelnie poraniony xeratoks wojownika Ambum, a ona sam pokonuje ostatnich barbarzyńców. Wtedy Viria ściąga mnie zdecydowanie na kolana. Ja zaś, wobec wielkiej przewagi wroga, ulegam.

– Viria, Avezan! – chrypi Ambum, spoglądając na nas. Potem, rozejrzawszy się, idzie w nasze ślady i umiejscawia swe kolana przy ciele uśmierconego potwora.

– Co teraz będzie...? – zapytuję niepewnie kobietę.

– Jeśli nie wydarzy się cud, zapewne zginiemy – wyrzuca z siebie z pogardą.

– Zginiemy... – powtarzam już niemal bez życia, uświadamiając sobie, że cała ta walka była zapewne na darmo. – Zginiemy...

– Prawdopodobnie tak... I módl się do swej matki, aby stało się to szybko. Nie z kawałkiem własnego pieczonego mięsa w ustach albo na innych wymyślnych torturach... – Kobieta splota z odrazą w bok.

*

Na nasze szczęście, czy też przekleństwo, zgodnie ze złowrogą zapowiedzią Viri obecnie trudno to jednoznacznie stwierdzić, zostajemy

pojmani, a nie zabici na miejscu. Na nasze ręce i nogi wędrują ciężkie kajdany. Ponadto wokół karków zakładane są nam żelazne obroże, które łączą nas razem łańcuchem.

Jesteśmy tak prowadzeni pieszo przez kilka dni i jedynie raz dziennie pojeni wodą. Aż docieramy do miejsca, o którym Viria nie omieszka wspomnieć, że jest to siedlisko, gdzie niemal nie został poczęty mój brat lub siostra, których ojcem miałyby być Exon.

Tak oto docieramy do kolejnego już obozu łowców niewolników. Lecz trafniejszym byłoby powiedzieć, że raczej do jego nędznych pozostałości. Niemal wszystkie drewniane domy to jedynie poczerniałe zgliszcza. Palisady są w większości spalone i zniszczone. Ponadto złowrogą atmosferę dopełniają zaostrome pale wbite w błotnistą ziemię z nadzianymi na nie ludźmi w podartych, czerwonych strojach.

Fetor rozkładu i śmierci czuć tu dosłownie wszędzie. Natomiast my sami jesteśmy rzućni na kłęczki w błoto zmieszane z krwią obok kilkunastu innych zniewolonych ludzi. A kiedy Viria próbuje zagadnąć najbliższego z nich, otrzymuje potężne uderzenia pałką w plecy od jednego z barbarzyńców, których jest w tym obozowisku pełno.

Na tym jednak kara dla towarzyszącej nam kobiety się nie kończy. W jej oprawcę wstępuje naraz jakaś nieopisana furia i zaczyna katować Virię raz za razem okładając ją obuchową bronią i nie zwracając uwagi, czy trafia w głowę, czy plecy. Z kolei jego ofiara, zamiast kulić się i unikać bolesnych razów, łapie mężczyznę za stopę i szarpie nią, przykładając ją sobie do czubka głowy, a jednocześnie żałośnie pojękuje:

– Niewolnica... twoja niewolnica...

W odpowiedzi barbarzyńca patrzy na nią z wyższością, po czym z pogardą spluwa jej w twarz i niespiesznie odchodzi. Upokorzona i obolała kobieta powraca do swego miejsca w szeregu i tym razem zapobiegawczo odsuwa się od osoby, z którą wcześniej zamierzała nawiązać kontakt.

A już niebawem kilku barbarzyńców stawia na środku placu drewniany posąg Gragezona, na którym zieloną farbę częściowo przykrywa czerwona krew. Następnie ktoś zakłada nam od tyłu worki na głowy, tak, że zupełnie tracimy widoczność.

Lecz za to od tej pory, aż w nadmiarze, raczeni jesteśmy upiornymi wrzaskami katowanych ludzi. Cała przestrzeń wydaje się wręcz rozrywana od żalonych skowytów okaleczanych istot. Wyją one przeraźliwie niczym obdzierane ze skóry, a potem następuje złowroga cisza i sytuacja się powtarza.

Nie wiemy, czy jesteśmy świadkami wyrafinowanej karności, czy może składania ofiar z jeńców z naszego szeregu i wkrótce przyjdzie czas na nas. Po ostatnich klęskach po prostu klęczymy zrezygnowani. Aż łzawo i cicho przemawia Viria:

– Przyznaję to, przyznaję przed samą sobą... Nie byłam dobrą istotą... – chlipie kobieta, czyniąc gorzkie wyznania. – Grzeszyłam na lewo i prawo i tak... przyczyniłam się do cierpienia wielu istot. Zaś jedyny czas, kiedy byłam coś warta, to ten spędzony u boku Anrei, przyznaję to...

W obliczu wysłuchiwanego cikliwego rachunku sumienia sam również czuję oddech śmierci na karku. Dlatego spoglądam na swe życie i smętnie, jakby do siebie samego, oświadczam:

– Wszystko, co było we mnie coś warte, pochodziło od moich rodziców... Ojciec uczył mnie, jak mam żyć i postępować, a matka natchnęła, o co powinienem walczyć... Ja, jednak kiedy sam zacząłem kierować swym losem, nie raz i nie dwa sprzeniewierzyłem się tym wartościom. Teraz to widzę, że bez całkowitej determinacji z jednoznacznego celu, rozdrabniając się, popełniłem błąd... I już zapewne nie dane mi go będzie naprawić, bowiem los przywiódł mnie właśnie tu, na śmierć...

– Też pragnęłabym naprawić świat, myślisz, że nie?! – rzuca nagle z rozpaczą Viria, kiedy tuż koło niej rozlega się dźwięk zdejmowanych okowów i daremne błaganie o litość. – Naprawiłabym, naprawiłabym wszystko! Gdybym tylko dostała jeszcze jedną szansę, taką małą, najmniejszą, jak powiadał Gabu, coś w skali mikro... Słyszysz mnie, Anreo, zaklinam cię! Usłysz mnie? Ty...! – kończy z agresją Viria, która ostatecznie ulega swemu wybuchowemu charakterowi i przeżuwa w ustach przekleństwo. Ja sam wtóruję kobiecie z pełną pokorą:

– Zatem i ja zwracam się do mej boskiej matki... Wstaw się za mną, za swoim synem oraz swoją dawną towarzyszką broni... – zawieszam głos i

ostatnie słowa kieruję smętnie do klęczącego z nami syna Gabu: – A jakie jest twoje ostatnie życzenie, wojowniku...? Co też jest twoją ostatnią myślą przed śmiercią...?

W odpowiedzi pada gardłowo tylko jedno, aczkolwiek zdecydowanie wypowiedziane, dosadne słowo:

– Pindzałka!

Nastaje pełna konsternacji cisza. Aż raptem Viria zaczyna się śmiać demonicznym, wręcz histerycznym śmiechem. I można by pomyśleć, że ogarnia ją zwykłe szaleństwo. Ponadto jej bezczelny rechot miesza się z upiornymi dźwiękami wydawanymi przez okaleczaną akurat postać. A niespodziewanie do tego upiornego chóru dołączają kolejne koszarne wrzaski i krzyki. Aż można odnieść wrażenie, że cała przestrzeń tego pogorzeliska wyje niewysłowionym okrucieństwem z nieprzeliczonych gardeł cierpiących mężczyzn i kobiet.

Ten obłęd trwa naprawdę długo, wzmagą się, to nieco łagodnieje, jakby pulsując. Aż koszarne dźwięki zaczynają z wolna cichnąć, po czym następuje absolutna, martwa cisza.

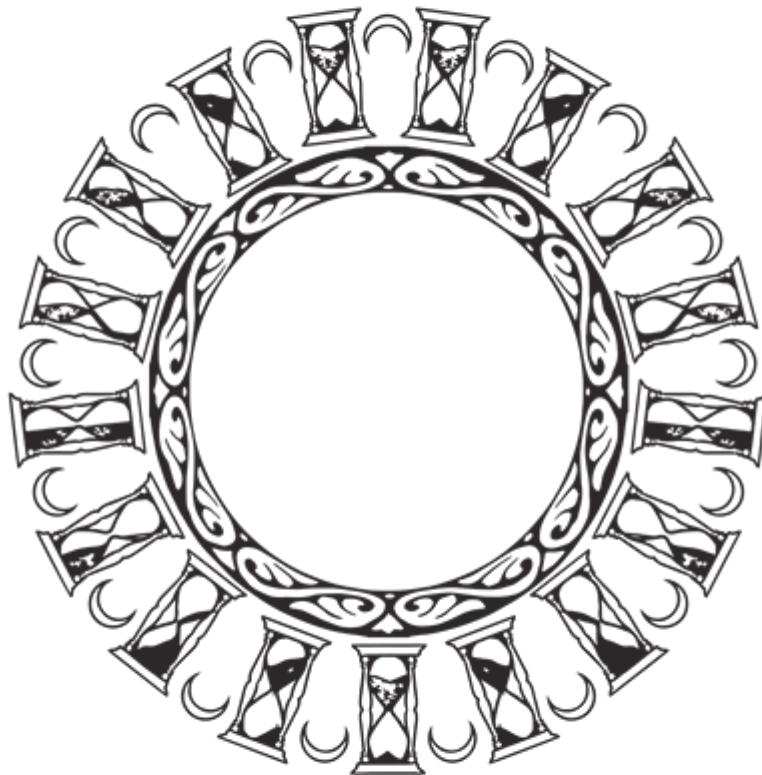
Wtem czuję na głowie dotyk i przez me ciało przechodzi gwałtowny dreszcz, zupełnie jakby dosięgnął mnie piorun. A zaraz ktoś ściąga przesłonę z mej twarzy. Zalewa mnie jasne światło dnia i zdaję sobie sprawę, że w otwartą przestrzeń obok mnie, spoglądają już także będący bez nakrycia głowy Ambum oraz Viria. Natomiast naprzeciw nas rozprzestrzenia się makabryczne pobojuwisko pełne ciał barbarzyńców w grubych futrach. Lecz nie tylko. Są tu również nieliczne, świeże zwłoki wysokich postaci o jasnych, długich włosach i w lekkich biało-zielonych zbrojach pokrytych wygrawerowanymi ozdobami.

Zaś część takich właśnie postaci stoi żywych na nogach, a przy życiu nie pozostaje żaden barbarzyńca. Stąd płynie jednoznaczny wniosek. Dopiero co rozegrała się tu, poza naszym widokiem, bitwa i oto mamy przed sobą jej krwawe żniwo. Jesteśmy też świadkami tego, kto tutaj zwyciężył. Tylko właściwie kto i dlaczego? Zastanawiam się, a jakby czytając w moich myślach, przemawia cicho Viria:

– To Allearzy...

– Allearzy... – powtarzam zaskoczony na bezdechu i nie wiem, czy z powodu nowych przybyszy powinienem się cieszyć, czy raczej odczuwać trwogę. A zaraz wspomniane osoby się rozstępują i pomiędzy ich szpalerem dostrzegam kroczącą na czworakach kobietę jedynie w zakrwawionej przepasce biodrowej. Od swoich kompanów odróżnia się ona praktycznie wszystkim. Ma długie, czarne włosy, a jej ciało zdobią liczne, wielobarwne malunki, również na twarzy, gdzie widnieje wizerunek demona z ognistymi ślepiami i długimi kłami.

Kobieta węzowym ruchem wije się w naszym kierunku i ociekając krwią, wygląda po prostu przerażająco. Aż zatrzymuje się tuż przed nami. Najpierw spogląda na klęczącego wojownika Ambum i naraz silnie popycha go i ten przewraca się na bok. Potem zatrzymuje się przed Virią. Jej przygląda się dłuższy czas, przekrzywiając dziwacznie głowę, po czym obnaża gniewnie zęby i głęboko kaleczy kobietę długim, zaostrozonym paznokciem w twarz. Następnie przenosi uwagę na moją osobę. Ogniskuje na mnie wzrok, w którym wszakże dostrzegam coś znajomego. Jednak naraz uświadamiam sobie, iż jest to coś o wiele więcej niż tylko znajomego. I już otwieram usta, aby z wielkim zdumieniem wypowiedzieć znane mi imię, gdy przybyła postać chwyta mnie raptownie za łańcuch i nim potrząsa, zabierając mi na chwilę oddech. Przy tym spogląda na mnie z pogardą, a ja już doskonale rozumiem jej przekaz. Ponownie daje mi poczuć, co znaczy być w łańcuchach i zniewolonym na łasce innych. Daje mi doświadczyć czegoś, czym sam ją swego czasu raczę. A czyni to nie kto inny jak Nail. Istota zesłana tu na czele Allearów niczym święta posłanka, ratująca nam życie. Taką przynajmniej żywię nadzieję, iż nas ocali, nie zgładzi.



VII. HARREMID

U podnóża Srebrzystych Gór porzucamy zabrane barbarzyńcom rumaki. Od tej chwili razem z Nail i grupą ponad dwudziestu Allearów wspinamy się niedostępnymi graniami na zaśnieżone szczyty. To jedyny sposób, aby niepostrzeżenie dotrzeć do bezpiecznej przystani, jaką jeszcze przez pewien czas powinno być księstwo Razzinal.

Po drodze Nail zmywa z siebie wojenne barwy, ale bezwzględnie zachowuje wobec mnie emocjonalny chłód, a biorąc pod uwagę nasze ostatnie relacje, bynajmniej jej się nie dziwię. Ponadto skąpi mi ona obszerniejszych wyjaśnień na temat jej losu po naszym rozdzieleniu się po przybyciu do Otchłani. Dowiaduję się jedynie tyle, że w starciu z barbarzyńcami szukała ratunku w rzece i znalazła go. Potem tułała się po okolicznych ziemiach aż napotkali ją zwiadowcy Allearów. Przystąpiła do nich, a gdy w jednej z potyczek poległ ich wódz, pozostali, za jej waleczność, właśnie ją wybrali na swoją przewodniczkę. Ona z kolei uratowała nas.

Teraz natomiast priorytetem jest dla niej szczęśliwe doprowadzenie ludzi, którzy zawierzyli jej swój los, do siedlisk Allearów z dala od Otchłani. Ponoć pierwotnie przybyli tu oni tajemnymi ścieżkami ze stepów pomiędzy księstwem Razzinal, a królestwem Saladior. Obecnie jednak te przejścia są skrzętnie chronione przez Jeźdźców Majanu, od których aż roi się w tamtych okolicach. Te wieści nie są dla mnie zaskoczeniem, bowiem czarownik Gabu wspominał, iż także wspomniani jeźdźcy zamierzają pod wodzą jednego z Bogów Pendorum najechać serce kontynentu.

Tymczasem wreszcie osiągamy górski szczyt, z którego będziemy mogli podjąć drogę w dół do Razzinal. Lecz szybko się okazuje, że nie jest to kres naszych podchodów. Z miejsca, gdzie docieramy, możemy obserwować jedną z głównych przełęczy, którą wije się nieprzeliczona rzesza istot, niczym ciemny, złowrogi wąż, pełznący w białym śniegu. Zaś po

ostrożnym zbliżeniu się do tych istot, Viria lekceważąco oznajmia, że te małe pokurcza dzierzące prymitywne dzidy i kusze to tak zwani Isikowie. Lecz zauważam, że towarzyszą im także budzące respekt wojowniczkę. To kobiety z głowami rogatych łani z łukami na plecach i kołczanami pełnymi srebrnych strzał, do tego uzbrojone we włócznie, a przewodzi im sama skrzydlata Bogini Harremid.

Zatem jesteśmy świadkami kolejnej inwazji. Natomiast ja sam, zgodnie z moją ostatnią wolą wypowiedzianą na klęczkach w obliczu śmierci, zamierzam zrobić wszystko, co w mej mocy, aby tę hordę powstrzymać. I nawet mam pewien zamysł, jak to uczynić. Jednak żeby zrealizować swój cel, muszę najpierw zjednać sobie dość sojuszników.

Początkowo zwracam się z moją prośbą do wojownika Ambum. Na co w odpowiedzi słyszę jedynie gromkie zawołanie „Avezan”, co biorę za dobrą monetę.

Potem kieruję podobne zapytanie do Viri, przypominając jej złożoną przez nią obietnicę, iż ma ratować świat. Ona zasłania się zanikami pamięci i chwilową niepoczytalnością umysłu w obliczu groźby rychłej śmierci. W końcu jednak godzi się mi pomóc, o ile zaakceptuje mój plan, jako nie w pełni samobójczy.

Następna na mojej liście potencjalnych sprzymierzeńców jest Nail. Lecz w jej przypadku trafiam na opór niczym lodową ścianę. Gestykułuje ona, że nie jest zainteresowana moimi planami, ponieważ teraz pomaga przede wszystkim ludziom, którzy pomogli jej samej i jeszcze nie zdążyli jej zawieść.

Tak, to słuszny przytyk do mnie. Przyjmuję go pokornie, ale nie daję tak łatwo za wygraną i roztaczam przed Nail szerszą perspektywę. Zwracam jej uwagę, że jest ona teraz na ziemiach wrogich Allearom ludzi z Razzinal. I jeżeli nie chce, aby spotkały ich tu kłopoty, być może rozsądnym byłoby wejść z władcą księstwa przynajmniej w czasowy sojusz w zamian za bezpieczny przejazd.

W odpowiedzi przywódczyni grupy Allearów odbywa z nimi krótką naradę, po czym przedstawia wspólne stanowisko. Mianowicie godzą się mi pomóc, jeżeli zawrę z księciem Razzinal stosowny pakt. Ja natomiast obiecuję nie zawieść.

Tak oto, zaraz po zejściu z gór i dla realizacji moich planów, w pierwszej napotkanej wiosce dowiaduję się od karczmarza, gdzie mogę na ten czas znaleźć władcę tej mroźnej krainy. Przebywa on ponoć w wojskowym obozie w pobliżu miasta Orizzo, gotując się do straceńczej walki z o wiele potężniejszym wrogiem. A skoro tak, to pod osłoną nocy kradnę bezczelnie z wioski rumaka i wyruszam wprost na spotkanie z księciem.

I co też takiego zamierzam mu zaoferować? Zaiste bynajmniej nie błahostkę. Albowiem pragnę nie dopuścić do wielkiej bitwy. Mianowicie chcę jednym cięciem zakończyć rozpoczynającą się wojnę. Chcę odciąć głowę smoka, zanim ten zacznie ziać ogniem. Czyli własnoręcznie zabiję moją siostrę, Harremid, i tym samym pozbawię jej wojska jedyne go przywódcy, a jej przeklętego ducha odeślę wprost do piekła Otchłani.

*

– Witaj, czy mogę...? – zwracam się łagodnie w progu allearskiego namiotu do samotnie zasiadającej tu Nail. Czynię to w okolicy, gdzie nasza grupa rozbiła obóz pomiędzy wojskami księcia Razzinal, a hordą Harremid.

– „Wejdz” – gestykuje kobieta. Tak, kobieta, tak ją teraz zdecydowanie odbieram. Ponieważ od naszego rozstania nad rzeką w Otchłani przybyło jej jeszcze więcej powagi oraz surowości i nie śmiem już o niej myśleć jak o dziewczynie. Tak więc zasiadam naprzeciw niej i nieco wisielczo zdaję relację z mojej wyprawy do władcy Razzinal:

– Wracam z audiencji u księcia... A raczej niedoszłej audiencji... – mówię markotnie. – Słowem, gdy tylko wspomniałem strażnikom o Allearach, poszczuto mnie psami i musiałem uciekać...

– „Zatem nie mamy żadnej umowy” – gestykuje swobodnie Nail.

– Zaiste nie mamy – potwierdzam. – Co nie znaczy, że nie możemy jej zawrzeć na innych warunkach. – Uśmiecham się dobrodusznie.

– „Naprawdę ciągle chcesz, abym pomogła ci odstać się do Bogini”?

– Tak.

– „Pragniesz walczyć i być może zgiąć za ludzi, którzy szcują cię psami”?

– Cóż... – Drapię się niefrasobliwie po głowie. – Rzeczywiście nie porażają wdzięcznością... Ale do pewnego stopnia ich rozgrzeszam, za ich

niezrozumienie, niewiedzę... – stwierdzam i po krótkiej pauzie dodaję: – Podobnie ciebie rozgrzeszam za zabicie na arenie Atrix, mojej kobiety i mego dziecka w jej łonie...

Na te słowa Nail przygląda mi się surowo i w swojej obronie gestykułuje:

– „Nie wiedziałam, że coś was łączyło, ani o dziecku. To była walka na arenie. Przecież wiesz, jakie tam są zasady”.

– Tak, wiem... Wiem też, że załamałaś je, gdy nie zdecydowałaś się mnie tam wtedy zabić... – Wzruszam bezradnie ramionami. I aby pozostawić już ten trudny temat za sobą, powracam do bieżących spraw: – Zatem co z niewinnymi ludźmi z Razzinal? Mogę liczyć, że twoi Allearzy ich chwilowo wesprą...?

– „Jedynie za ich głupotę i ignorancję w formie podziękii”?

– Cóż... chyba tak...

– „Otóż nie, nie narażę dla nich tak po prostu mych ludzi, za nic, a na pewno nie za ich głupotę, wykluczone” – gestykułuje zdecydowanie Nail.

– Przecież piekło nowego świata pod panowaniem okrutnych Bogów w czasie dosięgnię i Allearów, nie sądzisz...? – zauważam.

– „Być może, ale obecnie, skoro mają się ze sobą zetrzeć ich wrogowie, nie wiedzę powodów ku temu, aby im przeszkadzać. Zatem niech zetrą się nawzajem w pył i wykrwawią”.

– Czemu nagle tak bardzo zależy ci na tych... Allearach...? – pytam podejrzliwie.

– „To teraz moja jedyna rodzina, rodzina, jakiej nigdy nie miałam. Ufam im, a oni ufają mi. I nie zniszczę tego, jedynej pewnej rzeczy, jaką mam w życiu”.

– Więc ja nie jestem pewnym punktem w twym istnieniu? – rzucam z pewną pretensją. – Mi już nie można zaufać, czy tak...?

– „Sam sobie odpowiedz” – gestykułuje intensywnie Nail, po czym uderza mnie z niechęcią w tors, aż przewracam się za poły namiotu.

Staję na zaśnieżonej ziemi i nie żegnając się z moją rozmówczynią, w pewnym wzburzeniu i z gulą w gardle, odchodzę z niczym. Zaś już

niebawem jestem w namiocie Viri. A jestem tu po to, aby rozmówić się wreszcie z kimś, kto mnie zrozumie, wesprze i na kogo w tych trudnych czasach naprawdę mogę liczyć.

– Cóż za niespodzianka... – Kobieta nawet nie spogląda na mnie, tylko dalej spokojnie czyści swoją broń w postaci sześciostrzałowego rewolweru. – I jak tam wieści od naszego zacnego władcy Razzinal? Zgadza się, aby twoimi rękoma zakończyć wojnę, zanim się na dobre rozpocznie...? Czy może na jedno wspomnienie o Allearach nasz książę wyłysiał ze zgrozy i kazał cię wbić na pal...? A może jednak taktownie jedynie poszczuł psami, hm...?

– Poszczuł psami – wypalam bez ogródek.

– Aha... no popatrz... – Viria po raz pierwszy od mego przybycia zaszczyca mnie leniwym spojrzeniem swego jedyne go oka. Ja zaś smętnie dodaję:

– Nail potraktowała mnie podobnie, nie będzie mnie wspierać.

– Och, cóż za dramat... że osoba, której zarznięłam kochasia na statku, a ty traktowałeś ją, jak niewolnicę, nie chce być nam teraz posłuszna, nie uważasz...?

– To nie tak – oznajmiam z kwaśnym wyrazem twarzy.

– A jak...? – mruczy leniwie Viria i bierze się za czyszczenie drugiego pistoletu. Ja z kolei z pewną zadumą oświadczam:

– Z Nail swego czasu wiele nas łączyło. Nasza relacja jest, że tak powiem... skomplikowana...

– Ojoj... i co teraz? Znowu ci się serduszko otwiera na naszą przyszywaną Allearkę, hm...?

– Nie drwij ze mnie – ucinam. – Jeżeli ona mnie tak surowo ocenia i mnie nie chce ani mi pomóc, to znajdę innych, lepszych sojuszników.

– Nie wątpię... – Kobieta kończy czyścić pistolety. Wyciera dokładnie dłonie w szarą szmatkę i kusząco się do mnie uśmiechając, zapytuje: – Czyżbyś więc może odwiedził mnie, aby szukać tu pomocy i... pocieszenia, hm...? – Rozchyła sobie ubranie na klatce piersiowej, ukazując częściowo nagie piersi. Na ten widok niemal bezwiednie wciskam twarz w obfity biust i z wielką przyjemnością zanurzam się w miękkości

kobiecego ciała oraz napawam znanym mi zapachem, które wespół kojarzą mi się jedynie z czystą rozkoszą. – Milutko, prawda...? Hm... i co... zaraz rzucisz się na mnie...? – pyta Viria i sama sobie odpowiada: – Pewnie, że się rzucisz, prawda...? – W odpowiedzi gwałtownie popycham kobietę na plecy. Pospiesznie ją rozbieram i całuję namiętnie po szyi, piersiach, ramionach. Ona rozkosznie pojękuje: – O taaak, zaraz sobie ulżysz, pomyślimy też o tej Harremid, możesz na mnie liczyć...

Właśnie, nareszcie mogę na kogoś liczyć, na kimś polegać i mieć wsparcie u mego boku – myślę tak z zadowoleniem i dumą, rozsuwając kobiece uda. Aż raptem rozbrzmiewa nade mną gniewny, tubalny krzyk:

– Ambum! Viria! Avezan!

Na ten odgłos zastygam nagle w bezruchu i wbijam wzrok w wejście do namiotu. Podobnie zachowuje się moja kochanka. I nie inaczej, tylko okazuje się, że właśnie nakrywa nas wojownik Ambum.

Sam czuję się raptem dość niepewnie, bowiem nie wiem, czego w obecnych okolicznościach mogę się po synu Gabu spodziewać. Natomiast Viria czyni zacięty wyraz twarzy i jakby przez chwilę zмага się sama ze sobą, aż ostro do mnie posykuje:

– Podciągaj gacie, chłoptasiu, i znikaj.

– Ale... – Spoglądam na nią z ogniem w oczach.

– Wypad z mojego namiotu! – grzmi. – I daj sobie spokój z tą Harremid. Nikt, kto jasno myśli, ci w twym szaleństwie nie pomoże! – Nagle Viria jest zupełnie niczym inna osoba i swą niespodziewaną furią wręcz wypycha mnie na zewnątrz namiotu. A zaraz krocę już w śniegu zażenowany i ponownie upokorzony, dopinając opadające spodnie.

Lecz następnie, zanim dobiegną mnie rozkoszne pomruki Viri i syna Gabu, porywam się do jedyne go w naszym obozowisku wierzchowca. I chwilę potem gnam już co siłą, nie inaczej, tylko prosto do obozu mej siostry, samej Harremid.

Nagle wszystkie sprawy sercowe i damsko-męskie odbieram niczym niewołące mnie łańcuchy. I czym prędzej pragnę je zrzucić z siebie, czyniąc to w morzu krwi Bogini, która przybywa do Razzinal, aby zabijać niewinnych.

Oto w gniewie, spowodowanym ostatnimi wydarzeniami i dojmującym poczuciu osamotnienia, w mojej głowie coraz dokładniej krystalizuje się plan, jak samodzielnie pokonać siostrę. Bo skoro nikt nie chce mnie wspierać w mej walce, zatem się obejdzie. Sam będę tym, który wyznaczone cele wieńczy sukcesem.

Zapada już zmierzch, a przede mną wyłania się panorama warownego obozu Harremid z nieprzeliczonymi świątłami wzniesionych tu ognisk. Ja zaś bynajmniej się nie zatrzymuję, tylko ciągle gnam do przodu.

Aż wpadam na pełnym pędzie pomiędzy obozujących wrogów i jak oszalały galopuję dalej. Wokół mnie rozlegają się donośne sygnały trąb, ich dźwięki na alarm i trwogę, a w półmroku próbują mnie osaczyć liczni wrogowie.

I raptem grupa kobiet o głowach łani posyła w moim kierunku kilka srebrzystych strzał. Mój rumak zostaje skutecznie trafiony i kotłując się po śniegu, wpada w jedno z ognisk. Płonie i rży przeraźliwie, nieudolnie próbując się podźwignąć, aż zostaje dobity dzidami przez chmarę Isików, którzy nie przestają się nad nim pastwić. Rozrywają go na strzępy i żarłocznie w gryzają się w większości surowe mięso i krwawe wnętrzności.

Ja sam upadam wcześniej brzuchem na śnieg. A zanim zdołam wstać, jestem pochwycony przez wojowniczkę Harremid, istoty na podobieństwo jej samej jedynie bez skrzydeł. Zaś w pozycji pionowej gardłowo z siebie wyrzucam:

– Jestem bratem waszej Bogini! Mą matką jest mityczna Anrea! Tak, właśnie ona! Me imię to Avezan!

W odpowiedzi kobiety z głowami zwierząt dokładnie mnie przeszukują i pozbawiają broni. W tym dwóch krótkich ostrzy, dwuręcznego miecza i zestawu noży. Dłużej przyglądają się przedmiotowi, który po drodze przewieszam sobie na rzemieniu przez szyję, a wcześniej zabieram z namiotu Viri. Ta rzecz zostaje mi jednak pozostawiona, zwisając swobodnie na moim torsie.

Następnie jestem zawleczony przed jeden ze srebrnych, szpiczastych namiotów i wciągnięty do środka. Tak oto, trzymany za ramiona przez dwie wojowniczki, staję przed samą Boginią Harremid, moją siostrą, a jej widok jest doprawdy niezwykły.

Posiada ono wyjątkowo wysoką i smukłą sylwetkę, długie, srebrzyste włosy i nad wyraz okazałe poroże na głowie łani. Jej nietypowy ubiór przypomina swą egzotyką ten, w którym paradytuje Viria. To wysokie buty, ciasna i krótka spódnica, do tego zastaw pasów okalających talię i zwiewna koszula częściowo odsłaniająca wydatne piersi. Lecz w całej tej sylwetce najbardziej niezwykle wydają się oczy. Mienia się one intensywnym błękitem, to oślepiają wręcz krwistą czerwienią. Są doprawdy hipnotyzujące i pełne głębi. Świdrują mnie one i jakby próbują przejrzeć na wskroś moje zamiary.

I zdaje się, iż rzeczywiście to właśnie ma tutaj miejsce. Albowiem Harremid nie próbuje nawiązać ze mną słownego czy też werbalnego kontaktu. Jedynie patrzy, przyjmując coraz bardziej srogie oblicze na swej zwierzęcej twarzy, aż raptem rozpościera szeroko białe skrzydła.

Ja sam nie zamierzam zwlekać z tym, co niewątpliwie i tak wyniknie z tego rodzinnego spotkania, czyli przelewem krwi. Dlatego wykorzystując sztukę walki za pomocą własnego ciała, niespodziewanie atakuję.

Nagle uderzam jedną z wojowniczek obcasem okutego żelastwem buta w stopę. Ona posykuje z bólu i luzuje uścisk mego ramienia. Wtedy wyrywam jej się i zadaję potężny cios łokciem w zwierzęcy pysk. W przestrzeń wylatuje kilak wybitych zębów. Ja natomiast uwolnioną rękę zamykam w pięść i zamasyście uderzam nią drugą ludzką łanię prosto w policzek. Pod wpływem ciosu kolejna przeciwniczka również mnie puszcza i zatacza się w kąt namiotu.

Wówczas, oswobodzony, sięgam po przedmiot zawieszony na mojej szyi i ścigam go, po czym chwytam za jego rękojeść. Nie, to bynajmniej nie dziwaczny amulet, jakim zapewne jawił się w oczach wojowniczek Harremid. To świeżo ukradziony przeze mnie naładowany rewolwer Viri, z którego teraz posyłam dwie kule. Każdą w czoło pilnujących mnie do tej pory wojowniczek.

Za moment osuwają się martwe na ziemię, a ja nie tracę czasu, tylko błyskawicznie wymierzam w samą Harremid. Tak, mierzę do własnej siostry i zamierzam tę okrutnicę nafaszerować kulami, które wcześniej nasaczyłem mieszaniną własnej krwi i srebrzystego proszku, prezentu od czarownika Gabu.

Sama Bogini obnaża gniewnie zęby i tylko posykuje na wzór zwierzęcia. Odnoszę wrażenie, iż rzeczywiście niewiele ma ona w sobie z człowieka i naprawdę nie potrafi używać ludzkiej mowy. Jest ona jakby ucieleśnieniem bezwzględnych żądz i prostych instynktów. Dlaczego? Nie czas to roztrząsać. Teraz muszę ją zabić. Tak, po prostu zabić, aby spełnić swoją powinność strażnika Pendorum i nie dopuścić na ziemiach Razzianal do wielkiej wojny, śmierci tysięcy niewinnych ludzki, a potem wiecznej tyranii.

Raz, dwa, trzy, cztery! Opróżniam do końca bęben broni palnej wprost w serce Harremid. Boska istota wydaje z siebie potępieńcze wycie, tupie nogami i wysoko wznosi ręce. Odczuwa ból – myślę z satysfakcją. Według słów czarownika Gabu po raz pierwszy zstępujących na ziemię Bogów nie sposób jest zranić zwykłym orężem. Ponieważ przychodzą oni na materialny świat z silną aurą swej niematerialnej boskości, która ich chroni.

I raptem dostrzegam to coś niczym aureolę wokół głowy Harremid. To wirujące coraz szybciej jakby złote klepsydry poprzedzielane księżycami. Te symbole zdają się emanować jakąś nietypową energią i rzeczywiście sprawiają coś niezwykłego.

Otóż dopiero co wpakowałem w Harremid nasączone magią pociski i teraz spoglądam, jak z jej kobiecej piersi spływa wąskimi strużkami krew. Lecz zauważam, że na tym kończą się wyrządzone Bogini szkody. Udaje mi się jedynie ją dotkliwie zranić oraz... rozniecić w niej prawdziwą furję. Tak, widzę to w jej oczach, które przestają się mienić błękitem i przyjmują jednolicie czerwony, krwisty wyraz.

Aż raptem wydobywa ona ze swego zwierzęco-ludzkiego gardła koszmarne wycie, które wydaje się wręcz wstrząsać całym światem. W reakcji na ten raniący dźwięk zostają dosłownie wyrzucony z namiotu. Nagle czuję się bezbronny i słaby. Tak, już dociera do mnie, że zawiodłem i w obliczu przegranej pragnę teraz tylko jednego – ucieczki.

Poza namiotem Harremid dostrzegam przywiązane razem konie. Odpycham od siebie bandę wpatrujących się we mnie z przejęciem Isików, po czym w te pędy odwiązuję jednego z rumaków, dosiadam go i gnam przez obóz prosto na południe.

Cudem udaje mi się wyminąć uzbrojone grupy, płonące ogniska oraz namioty i prowizoryczne szałaszy. Tym sposobem dostaję się na otwartą przestrzeń, jaką jest pokryta niezbyt wysokim śniegiem równina. Lecz nie dane mi jest swobodnie uciec wrogowi. Tuż za mną wystrzeliwuje liczna pogoń, około trzydziestu jeźdźców, z których część trzyma zapalone pochodnie. W ten sposób jesteśmy widoczni w mroku nocy na znaczną odległość. I z tego też powodu skręcam lekko na wschód, gdzie w sporej odległości położony jest księżący obóz.

Jednakże coraz bliżej świszczące koło mego ucha strzały z łuku, podpowiadają, że nie dane mi będzie podprowadzić pościg aż pod wojska z Razzinal. A jednocześnie nie zaryzykuję ściągnięcia wrogiego oddziału ku bliżej położonemu obozowi z Nail oraz Virią, wysłannicy Harremid są zbyt liczni.

Dlatego podejmuję jedyną w tych okolicznościach możliwą decyzję. Nawracam rumaka, aby zginąć godnie z walce, jak na syna walecznej Anrei przystało, a nie jak tchórz z plecami naszpikowanymi strzałami. Jak na złość nie posiadam obecnie ze sobą żadnej broni, ale tę zawsze mogę zdobyć, jednak jedynie walcząc, nie uciekając.

Z tą myślą poganiam rumaka prosto na galopujący na mnie oddział i upatruję sobie pierwszego wroga z kolumny jeźdźców. Zbliżając się do niego, wysuwam nogi ze strzemion i nieco zwalniam, wspinając się stopami na końskie siodło. I raptem wybijam się wysoko do góry.

W tym samym momencie odnoszę wrażenie, zupełnie jakby konnica przede mną, niczym jedno ciało, zafalowała. Rumaki z jeźdźcami zostają przesunięte w bok, a wszystkie pochodnie lądują pod końskimi kopytami. Wtedy też spadam na jednego z przeciwników, który z trudem próbuje utrzymać na wodzy swego rumaka. I zaraz już wiem, jaki jest tego powód.

Z najbliższej odległości zauważam w mroku nocy, że wokół mnie wywiązuje się mordercza walka, w ruch idą strzały i włócznie kogoś, kto konnicą wpadł z impetem w prawą flankę wroga. Następnie wyławiam wzrokiem, iż są to kobiety w srebrnych zbrojach, które walczą jak natchnione. A więc idę w sukurs moim niespodziewanym sprzymierzeńcom!

Gwałtownie skręcam kark łani o ciele kobiety, którą to pochwyciłem na koniu. Jednocześnie przejmuję jej włócznię, a drugą ręką łapię za uzdę rumaka. Kieruję go na kolejne przeciwniczki i wprost na nie szarżuję.

Jedną z wrogich wojowniczek dźgam grotem w pierś osłoniętą pancerzem i zrzucam z wierzchowca. Drugą uderzam drewnianym trzonkiem w zwierzęcy pysk z taką siłą, że również posyłam ją pod końskie kopyta. Zaraz potem ponownie używam grotu włóczni, umiejscawiając go z impetem w ciemnym oku rogatej łani. Wyjmuję drzewcową broń z ofiary i krzyżuję ją z inną przeciwniczką. Ta zaraz zostaje przeszyta kilkoma strzałami. Następna, z którą podejmuję walkę, otrzymuje od mych sojuszników cios włócznią w gardło.

Od tego momentu gwałtowność morderczego starcia zaczyna maleć, co pozwala mi stwierdzić, iż tę potyczkę wygrywamy. Zaś rozglądając się, dostrzegam ludzką wojowniczkę na koniu, która będąc w defensywie, zostaje naraz rozbrojona. Zatem idę jej błyskawicznie na odsiecz. Unoszę włócznię i niczym oszczepem rzucam nią w atakującą pół-łanię. Grot wbija się głęboko w jej plecy, przynosząc szybką śmierć istocie. Podjeżdżam do niej i wyszarpuję z truchła swoją broń, po czym krzyżuję wzrok z kobietą, którą przed chwilą ratuję. Ona odwzajemnia dziękczynne spojrzenie. A zaraz słyszę wokół siebie wiwaty i liczne, kobiece okrzyki:

– Zwycięstwo, zwycięstwo!

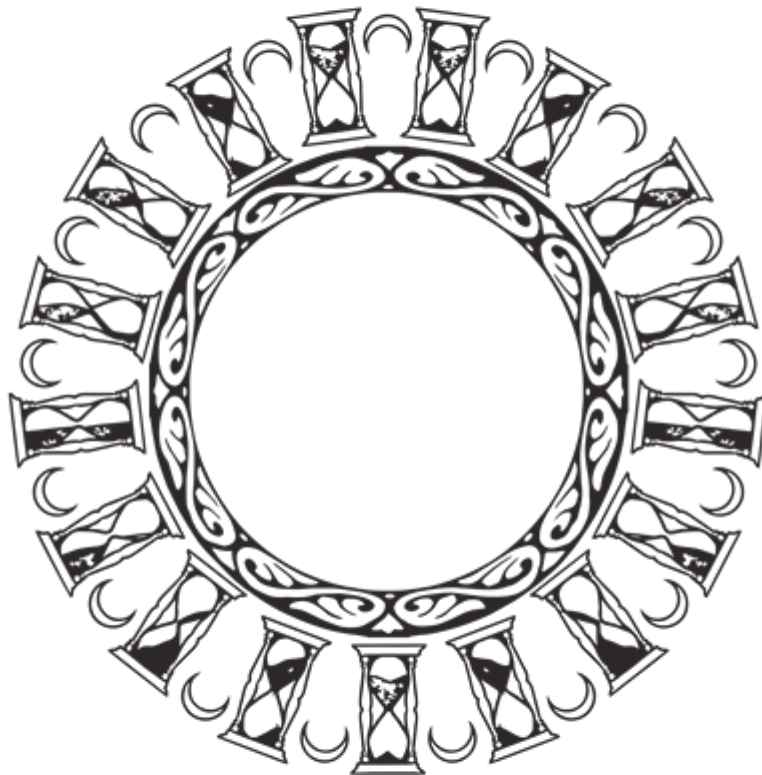
Ocalona przeze mnie postać podjeżdża do mnie blisko i uśmiechając się, coś do mnie krzyczy, ale nie słyszę jej w ogólnej wrzawie. Aż naraz rozlega się przeciągły gwizd i wszyscy jak na komendę cichną. Wtedy też rozbrzmiewa w przestrzeni zdecydowany, kobiecy głos:

– Pomioty z Otchłani zdradzieckiej Harremid zostały odesłane tam, gdzie ich miejsce! I my, my to uczyniłyśmy! Zakonniczki osamotnione i wzgardzone przez każdą stronę tego konfliktu. Ale to my tu jesteśmy i my wygrywamy, my! Od zawsze bronimy słabszych oraz uciśnionych i w tym dążeniu nie ulegniemy, cokolwiek się stanie. Słuszna racja jest zawsze po naszej stronie! – Ponownie rozlegają się głośnie wiwaty. Kiedy cichną, wypowiadająca się uprzednio kobieta podjeżdża do mnie konno i swobodnie oświadcza: – Kimkolwiek jesteś, szalony wojowniku, witaj i bądź pozdrowiony przez światłość. A życzenia pomyślności ślę ci ja,

Hamri, sama wielka mistrzyni dawnego Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani.

W odpowiedzi spoglądam na kobietę z krzywym uśmiechem. Uświadamiam sobie bowiem pewną ironię losu, to jest, z kim teraz prowadzi ona walkę, aby pozostać wierną dawnym ideałom, którym sprzeniewierzyła się sama Bogini miłości i walki, Harremid.

Lecz zaraz mój słaby uśmiech całkiem niknie, gdy daleko za plecami wielkiej mistrzyni, zauważam cały niezmierny ocean zapalonych pochodni przemieszczających się z wolna w naszą stronę. Wniosek z tego widoku jest tylko jeden. W obozowisku Harremid pada właśnie nocny rozkaz do wymarszu i natychmiastowego ataku na znajdujące się w okolicach wojska z Razzinal. I wygląda na to, iż moim aroganckim wypadem, sam tę akcję sprowokowałem.



VIII. MAŁŻEŃSKI WĘZEL

Jest blady świt. Znajduję się na wzniesieniu w towarzystwie Viri, wojownika Ambum, wielkiej mistrzyni Hamri, Nail oraz jasnowłosych zakonnicek, jak i Allearów. W przypadku pary tych ostatnich do niedawna śmiertelnych wrogów teraz jednakże osób zjednoczonych tym, że oglądają stracie swych dwóch obecnych przeciwników.

Oto z jednej strony nadciąga nawałnica kilkudziesięciu tysięcy Isików z kilkoma tysiącami pół-zwierzęcych wojowniczek Bogini Harremid. Naprzeciw nich zostaje wystawionych około pięciu tysięcy żołnierzy z księstwa. I wynik tego rozgrywającego się na zaśnieżonej równinie starcia wydaje się przesądzony. Choć w pierwszym momencie czysto ludzkie zastępy zyskują przewagę.

Po zmasowanym ostrzale z łuków, kładących pokotem setki kroczących Isików, do szarży na niewydarzone pokurcza rusza ciężka konnica z Razzinal, masakrując w starciu liczne szeregi wrogów. W sukurs idzie jej piechota, która gna na flanki jazdy, aby je chronić. I rzeczywiście czyni to skutecznie, z łatwością pokonując kolejne zastępy Isików.

Tym sposobem wojska z Razzinal coraz silniej wbijają się w środek pozycji wroga, wycinając tam sobie drogę mieczami. Widok ten przypomina zbrojną kulę coraz głębiej zatapiającą się w półksiężyc.

Aż w pewnym momencie sama Harremid, trzepocząc skrzydłami, wzlatuje wysoko nad swoje oddziały i wydaje ze swej piersi mordercze wycie. Jest to złowrogi dźwięk, który skutecznie tchnie lęk w szeregi postępujących naprzód ludzkich wojowników, ci bowiem się zatrzymują. Lecz jednocześnie budząca grozę wibracja boskiego głosu stanowi natchnienie i sygnał do decydującego ataku dla hordy najeźdźców.

Po dwóch stronach formacji Isików, obecnie w postaci półksiężyca, gna konnica z półzwierzęcymi kobietami uzbrojonymi w łuki, a także tarcze i

włócznie. W sile kilku tysięcy wojowniczek błyskawicznie roznoszą one w pył pozostawionych na tyłach łuczników z Razzinal. Następnie czynią nawrót i rzucają się na tyły konnicy oraz piechoty.

Pierścień okrążenia zostaje błyskawicznie zamknięty i od tej pory trwa jedynie bezpardonowa rzeź osaczonych ze wszystkich stron żołnierzy z Razzinal. To jest ich koniec, jak i kres władania księstwem przez ludzi.

Po bitwie odjeżdżamy na bezpieczną odległość i we własnym gronie przeprowadzamy wspólną naradę. Okazuje się, iż w tym momencie jednoczą nas zbieżne cele i dlatego postanawiamy czasowo współdziałać. Hamri bowiem oznajmia, że w księstwie w tej chwili ma jedynie samych wrogów. Jej zakon czczący Harremid został tu wyklęty i zakazany. Zaś sama Harremid sprzeniewierzyła się swym dawnym ideałom miłości i ochrony, wkraczając na ścieżkę walki, zemsty oraz pragnienia władzy. Stąd przywódczyni zakonnicek przyjmuje propozycję Nail, aby połączyć siły i razem udać się w bezpieczne miejsce, to jest na tereny Allearów, chroniąc siebie nawzajem. Potem wielka mistrzyni podąży w wybraną przez siebie stronę.

Osobiście mam w tych ustaleniach najmniej do powiedzenia, ponieważ praktycznie nikim poza samym sobą nie dowodzą. Wyrażam jedynie opinię, że skoro wszyscy posiadamy jednego wroga – gniewnych Bogów, to powinien jednoczyć nas także jeden cel – pokonanie boskich armii z Otchłani, skoro samych dzieci Anrei i Abezzala nie jesteśmy w stani własnoręcznie zgładzić. Podpieram moje słowa, zdając relację z fiaska realizacji mego planu zamachu na Harremid za pomocą pocisków Viri, własnej krwi i magicznego proszku czarownika Gabu.

Z kolei moje sugestie kwitowane są milczeniem. Nikt mi nie zaprzecza, to zrozumiałe, ale też nikt nie kwapi się, aby przyklasnąć karkołomnym planom rzucenia się na wszechpotężnego wroga.

Tak oto obieramy kurs na stepy oddzielające księstwo Razzinal od królestwa Saladior. Po drodze stanowimy do tego stopnia znaczący liczebnie oddział, czyli niemal sześć dziesiątek zbrojnych, że nikt z resztek żołnierzy Razzinal nie śmie stawać nam na drodze. Dlatego bez przeszkód opuszczamy mroźne, północne władztwo, pozostawiając je na pastwę pomiotów Harremid i podążamy dalej na południe do zalesionych,

górzystych siedlisk Allearów. Ponadto podczas podróży czujnie wypuszczamy licznych zwiadowców oraz drużyny mające na celu upolowanie dziczyzny – pożądanego, świeżego prowiantu.

Aby się czymś zająć, sam biorę się ochoczo za te ostatnie zadania. A za każdym razem wyjątkowo chętnie pragnie dołączyć do mnie pewna kobieta, której pełen sympatii wzrok co raz czuję na sobie. Tak, to zakonniczka, ta sama, której ratuję życie podczas nocnego starcia po nieudanym zamachu na Harremid.

Osobiście nie znam imienia wspomnianej kobiety i nie zabiegam o to, by je poznać, podobnie, jak nie odwzajemniam zalotnych uśmiechów. Po ostatnich rozczarowaniach świadomie wybieram samotność, poszukując w niej spokoju i równowagi. Choć z przyjemnością spędzam także czas w towarzystwie wojownika Ambum. Jest to skrajnie wręcz bezpretensjonalna osoba, przy której zawsze mogę być sobą i powiedzieć, co mi leży na duszy. W odpowiedzi usłyszeć jedynie „Avezan” i w związku z tym zawsze czuć się komfortowo.

Chociaż ostatnio również i sam Ambum przeżywa ciężkie chwile. Mianowicie Viria odnajduje w osobie Hamri swą dawną kochankę i od tego momentu obie kobiety stają się niemal nierozłączne. Wspólnie zajmują jeden namiot, natomiast syn Gabu zostaje na łodzi. Mimo to uważam, że ten mężczyzna naprawdę dzielnie znosi rozłąkę. Jedynie szuka sobie ustronnego miejsca i powtarzając na przemian „Viria”, to „Ambum”, uderza z impetem głową o stalowe okucie swego młota. Cóż powiedzieć – każdy ma własne sposoby radzenia sobie z bólem po stracie. Czasem, jak widać, zadając sobie kolejny ból.

Z kolei ja sam z czasem uświadamiam sobie, że z moją własną stratą nie mogę się tak po prostu pogodzić. A nawet więcej, w ogóle się z nią nie godzę. Tak, chodzi o Nail, do której, czego bym nie uczynił, wciąż posiadam silne uczucie. Zaś racji tego, że podążamy w jednym oddziale, co raz napotykamy na siebie wzrokiem i dzielimy wspólną przestrzeń. I co znamienne, mimo że nie szukamy ze sobą bezpośredniego kontaktu, to nasza wspólna przestrzeń coraz bardziej się zawęża. Słowem nie raz i nie dwa z najbliższej odległości spoglądamy sobie w oczy. I z czasem nie dostrzegam już w spojrzeniu Nail dawnej urazy. A skoro tak, to w końcu

decyduję się odwiedzić ją w jej namiocie i uczynić to, czego od dawna pragnę. Chcę z nią ponownie, szczerze i od serca, porozmawiać.

– Nail... – mówię z uczuciem i siadam naprzeciw kobiety, która w namiocie ostrzy w skupieniu krótki miecz. – Nail... – powtarzam, kiedy nie raczy nawet na mnie spojrzeć. Następnie kładę jej dłoń na ramieniu. Patrzy na dotykającą ją rękę. Ja zaś kontynuuję: – Niebawem dotrzemy do siedlisk Allearów. Zatem doprowadzisz swych ludzi do celu i jest to duże osiągnięcie.

– „Tak, chyba tak” – gestykuje po odłożeniu ostrza kobieta.

– Podziwiam cię za to...

– „Dziękuję. A ja ciebie, za szalony atak na Harremid”.

– Doprawdy...?

– „Tak. To znaczy... to było głupie, naprawdę głupie, ale... podobało mi się, wyjątkowo”. – Nail ozdabia swą egzotyczną twarz lekkim uśmiechem.

– Uśmiechasz się, miło mi to widzieć... – odwzajemniam ten sam grymas twarzy. Lecz zaraz poważnieję, ostrożnie zapytując: – Ale co będzie potem? Co zamierzasz, kiedy już zwieńczysz swą misję sukcesem i zakończymy podróż?

– „Nie myślałam o tym” – gestykuje swobodnie kobieta. – „Może zostanę z Allearami, są mi niczym rodzina”.

– Tak, wspominałaś... – przyznaję. – Ale... zauważyłem, że z żadnym z Allearów nie jesteś zbyt blisko, wiesz, co mam na myśli...

– „To prawda, nie jestem”.

– Właśnie... Ja natomiast... – ucinam naraz zdanie. Chwytam kobietę mocno za ręce i spoglądam na środkki naszych dłoni naznaczonych masywnymi bliznami, który to widok chyba najlepiej oddaje trudną drogę naszego uczucia. Następnie przenoszę wzrok na ciemne oczy tak bliskiej mi osoby i jak natchniony oświadczam: – Nail, czy wspominając nasze dobre chwile, a wymazując z serca te złe, nie chciałabyś zostać moją... żoną? Bo ja sam tylko tego pragnę, wyłącznie o tym śnię i o niczyje inne względu już nie zabiegam i nie będę zabiegał. Uwierz mi, nie chcę żadnych innych kobiet, już nie. Poprzysięgam ci to.

W odpowiedzi zaskoczona postać naprzeciw mnie robi okrągłe oczy, obrazując zdziwienie. Jednak bynajmniej nie próbuje wyszarpnąć rąk z mego uścisku. Czyni to nad wyraz lekko, a wtedy roztropnie gestykuje:

– „Obserwuję cię i zachowujesz się coraz rozważniej. W każdym razie od ataku na Harremid. – Puszczaj mi oko. – A bacząc na twoje oświadczenia, jest to ważne, abyś był rozsądny. Tylko wówczas kobieta, jak ja, wie, że może na ciebie liczyć, naprawdę liczyć. A nie tylko na to, że będziesz przy niej z powodu nagłego porwywu serca, czy żądz, rozumiesz?”

– Rozumiem, Nail, rozumiem. – Coraz szerszy uśmiech pojawia mi się na twarzy, zaś kobieta dodaje:

– „Od zawsze jesteś mi na swój sposób bliski. Ale jeżeli chcesz, byśmy naprawdę byli razem, na dobre i na złe, musisz dać mi więcej dowodów oddania, wierności”.

– Otrzymasz je, zapewniam – mówię naraz uszczęśliwiony z pełnym przekonaniem.

– „Jesteś ponownie na dobrej drodze”. – Nail uśmiecha się i łagodnie całuje mnie w policzek. Lecz zaraz dla równowagi czyni chłodne gesty: – „A teraz mi nie przeszkadzaj, muszę naostrzyć broń”.

Ja jednak, porwany falą entuzjazmu, radośnie wypalam:

– Daj spokój, Nail! Na pielęgnację mieczy przyjdzie jeszcze czas, wiele czasu. Teraz, proszę cię... pójdziemy razem do ogniska coś zjeść. Co ty na to? Po zapachu czuję, że pieczeń na rożnie już wręcz się prosi, aby ją smakowicie schrupać, zatem... Chodź ze mną!

– „Chodźmy zatem” – Kobieta ulega i połączeni wspólny uściskiem dłoni zmierzamy do ogniska, przy którym w pieczoną sarninę wgryzają się już Hamri oraz Viria. Osoby, które najwyraźniej robią sobie małą przerwę w miłosnych uciechach, aby się pożywić i nabrać sił do kolejnych igraszek.

– No proszę! Kogoż to moje jedyne oko widzi! – rzuca radośnie na nasz widok Viria, ogniskując wzrok na naszych splecionych razem palcach dłoni. – Dostrzegam, że błogosławieństwo jasnej strony sławetnej Harremid rozprzestrzenia się po całym obozie! – mówi kobieta i całuje w usta przeżuwającą mięso Hamri. Ta, uśmiechając się, odpycha kochankę i także się do nas zwraca:

– Siadajcie i posilcie się z nami. – A kiedy idziemy za tym wskazaniem, dodaje do Nail: – Przypominasz mi kogoś, kogoś niezwykłego... Masz w sobie to coś...

– Niemal boskiego! – wypala Viria.

– Tak – przyznaje Hamri. – Nie wiem czemu, ale patrząc na ciebie, przypomina mi się sama mityczna Anrea. – Wzdycha z zachwytem. – Wiedz, że walczyłam, oj nie raz walczyłam u jej boku i zawsze pokonywałyśmy naszych wrogów...

– Samochwała! – krzyczy na to ucieszenie jej jednooka kochanka i z udawaną pretensją dodaje: – A już zapomniłaś, że w potyczkach u boku Anrei, z drugiej strony to ja sama osłaniałam ci skórę? Ha!

– Oj pamiętam, pamiętam... – Wielka mistrzyni zdejmuje Viri kapelusz i tarmosi ją po czarnych, średniej długości włosach.

– A co ze mną? – zapytuje, udając zazdrość. – Czyż ja sam nie przypominam nic, a nic swej matki i nie jestem w waszych oczach boskim herosem?!

Na co Viria z Hamri spoglądają sobie głęboko i z powagą w oczy, po czym jednocześnie wybuchają gromkim śmiechem:

– Ha, ha, wcale a wcale! – drą się i popychają siebie nawzajem.

– Cóż... – odpowiadam na to niby obojętnie. – W końcu jestem mężczyzną. Więc cóż mi się porównywać do kobiety, nawet samej Bogini. Za to w przyszłości to do mnie, nowego władcy zjednoczonego Pendorum, będą porównywani wszyscy aspirujący do miana prawdziwych czempionów wojowie.

– Uuuu... Cóż za skromność! – Podchwytuje ucieszenie Viria i wskazując na łono Nail, kąśliwie sugeruje: – Założę się, że jeden z tych wielkich czempionów... niebawem będzie już w drodze!

– Być może... być może nie zaprzeczę... – drocze się. – A obecna tu dama... – mówiąc to, obejmuje Nail. – Już wkrótce będzie moją najukochańszą żoną! Aha! – wypalam radośnie.

– Oooo! – Tym wyznaniem czynię szerokie uśmiechy na twarzach obu kobiet naprzeciw i wprawiam te osoby w prawdziwy zachwyt. Następnie jedna z nich, Hamri, bierze z bukłaka duży łyk, po czym ociera z ust

rubinowy napój. Na ten widok uśmiecham się, uświadamiając sobie, że osoby po drugiej stronie ogniska piją do mięsa wino. – Mogę...? – Wyciągam rękę po trunek.

– Ależ oczywiście, zdrowie przyszelej, młodej pary, tylko nie wypij wszystkiego! – Viria zabiera bukłak kochance i oddaje w moje ręce. Ja z kolei poję Nail, aż się ona zachłystuje. Wzbudza to wokół ogniska kolejne, rubaszne śmiechy. I od tego momentu ostatecznie pogodnie również oblicze obejmowanej przeze mnie Nail, po czym dalej raczymy się jadłem oraz napitkami niemal niczym już na samym weselisku. Natomiast poruszane przez nas tematy wędrują od najpoważniejszych spraw związanych z polityką Pendorum, przez sprośne i trywialne rozmowy, na zapowiedziach rychłych zaślubin kończąc.

Tak, naciskam, aby ślub mój oraz Nail odbył się zaraz po szczęśliwym dotarciu do kolebki Allearów. A czynię to usilnie, mając u boku dwie oddane mi w tej sprawie sojuszniczki – lekko wstawione Hamri oraz Virię. I we trójkę dopinamy swego, ostatecznie sprawiając, iż osaczona prośbami Nail w końcu ulega...

*

Pełen świeżej energii i nowych nadziei docieram z moją grupą w gęstą, górzystą puszcę. I z wielkim pragnieniem wyglądam rychłych zaślubin z Nail. Do tego czasu nie nagabuję jej zbyt ani nie prowokuję cielesnego zbliżenia pomiędzy nami. Chcę tym samym pokazać mojej jedynej, prawdziwej miłości, iż ją szanuję i robię, co mogę, aby zasłużyć na jej szacunek. Chociaż przyznaję, że pragnę jej niewymownie. W końcu ostatnio kochaliśmy się tak dawno temu, a było to jeszcze na statku Zachara w zaciszu mej skromnej kajuty.

Tymczasem wkrótce napotykamy pierwsze patrole Allearów i wyjawiamy im cel naszego przybycia. W tym przedstawiamy propozycję wspólnych rozmów na temat trudnej sytuacji w całym Pendorum w związku z najazdami z Otchłani. I pragniemy wywiedzieć się na temat naszego możliwego sojuszu bądź skromniejszej współpracy.

Miejscowi Allearzy porozumiewają się ze swymi pobratymcami przywiedzionymi tu przez Nail i wyrażają zainteresowanie naszymi propozycjami. Zaś w celu przeprowadzenia stosownej debaty kierują się z

nami do leśnego obozu, gdzie stacjonuje obecnie kobieta zwana Larien. Osoba, która na ten czas jednoczy pod swym władaniem większość allearskich klanów

I tak przedzieramy się konno przez niemal dziewiczą, zieloną puszcę, przemierzając skryte między drzewami wąskie dróżki. Towarzyszy nam wszechobecna zieleń, półmrok, poczucie wilgoci oraz nieustanny śpiew ptaków. Także dzikie zwierzęta, jak jelenie czy łosie, które wielokrotnie niespodziewanie przecinają nam drogę i nieraz stają się pożywną kolacją. I choć przemierzamy się wspólnie, to całkiem nie udaje się nam oraz Allearom przełamać wzajemnej nieufności, przez co posiłki ze wspomnianej dziczyzny spożywamy we własnym gronie.

Wspominam też z opowieści ojca, iż Allearzy to niezwykle dumny i bitny lud, w którym dobrze jest mieć sojusznika. A żeby zaskarbić sobie ich ufność, niezbędne są ponoć cierpliwość, odwaga i gotowość do poświęceń. Więc w przyszłości jestem gotowy bez wahania dać im to wszystko, bowiem w celu walki o Pendorum, gdzieś z kimś w końcu muszę wejść w trwałą sojusz.

Aż pewnego dnia wkraczamy w miejsce, gdzie aż roi się od allearskich wojowników, jak również pojawiają się ich domostwa. Tymi ostatnimi są namioty, okazałe szałas oraz schronienia budowane na drzewach, pomiędzy którymi rozpościerają się splecione z lin i desek pomosty czy drabiny. Nie brak tu także ćwiczebnych placów w tym porostawianych tarcz strzelniczych. A całość obozu położona jest w cieniu niebotycznie wysokich, liściastych drzew, tworzących jakby zielony baldachim.

Ja sam, tuż po naszym przybyciu, proszony jestem na spotkanie z oczekującą mnie Larien. Wobec wezwania akurat jedynie mnie, Hamri oraz Viria przyglądają mi się z pewnym zaskoczeniem. Ale zapewne i one domyślają się, czemu wybór pada właśnie na mnie. Nie ukrywam bowiem przed Allearami swego prawdziwego pochodzenia i z góry zaznaczam, iż tak, jestem najmłodszym potomkiem boskiej Anrei, istoty, która była ukochaną, jak i znienawidzoną Boginią Allearów. Lecz w swym ostatnim żywocie ponownie stanęła ona w jednym szeregu z tutejszym ludem, walcząc zwycięsko i ratując go od niechybnego pogromu ze strony cesarzowej Tiry.

Tak więc biorę głęboki oddech, świadom tego, że być może czeka mnie zaraz najważniejsza rozmowa w moim życiu, od której zależy przyszły sojusz i los całego Pendorum. Następnie całuję z uczuciem w czoło Nail i wręczam mej ukochanej zerwane uprzednio wielobarwne kwiaty. Potem szepczę jej czule do ucha, że kocham ją bez pamięci i jeszcze tego wieczoru staniemy się sobie mężem i żoną, po czym odchodzę sprężystym krokiem do wnętrza zielonego namiotu.

*

– Coś długo go nie ma z powrotem... – zauważa w pewnym momencie Hamri, stojąca w towarzystwie swej kochanki, a także Nail oraz wojownika Ambum.

– Ciekawe... co oni mogą tam tak długo robić... – podchwytuje kąśliwie Viria i spogląda zaczepnie na Nail. Ta, uśmiechając się, kręci przecząco głową.

– Więc naprawdę uważasz, że nie...? – droczy się jeszcze jednooka kobieta.

– „Nie” – ucina zdecydowanie spekulacja Nail, ocierając o siebie kanty dłoni.

– Zobaczymy... – mruczy Viria. – Zresztą i tak się pewnie nie pochwali... Avezan i ta jego wrodzona skromność... – Uśmiecha się drwiąco.

Aż naraz z zielonego namiotu Larien wychodzi jakaś starsza kobieta i przekazuje wiadomość allearskim strażnikom. Ci powiadamią ją o czymś swych pobratymców. I tak niebawem w całej osadzie rozchodzą się tajemnicze wieści, a razem z nimi dokonuje niezwykle poruszenie. Od tego momentu do siedziby Larien co raz ktoś pospiesznie wbiega, to równie chyżo wychodzi, zanoszą coś i powracają z pustymi rękoma.

– Ciekawe, naprawdę ciekawe... – oznajmia zaintrygowana Viria. I niemal w tej samej chwili w różnych częściach obozowiska rozlega się intensywne dęcie w rogi, które wydają na przemian niezwykle niskie, to wysokie brzmienie. Potem dochodzi do nich łagodna, przejmująca melodia fletów, przywodząca na myśl miłosną pieśń. Przed namiotem przywódczyni Allearów pojawiają się osoby w luźnych, wielobarwnych i niezwykle

wykwintnych strojach, a także gwardziści w połyskujących, biało-zielonych pancerzach.

Wszystko to wygląda na odgrywanie jakiegoś zagadkowego misterium. Aż przed siedzibą Larien staje osoba w srebrzystym stroju z założoną na siebie głową łani, przywołując na myśl samą Boginię miłości i walki Harremid. Rozsuwa ona poły namiotu i wyprowadza na zewnątrz kobieco-męską parę. To nie kto inny, jak Avezan ubrany w elegancki, luźny i zielony allearski strój. Pod rękę towarzyszy mu młoda, przepiękna kobieta o długich, złocistych włosach i w nieskazitelnie białej sukni.

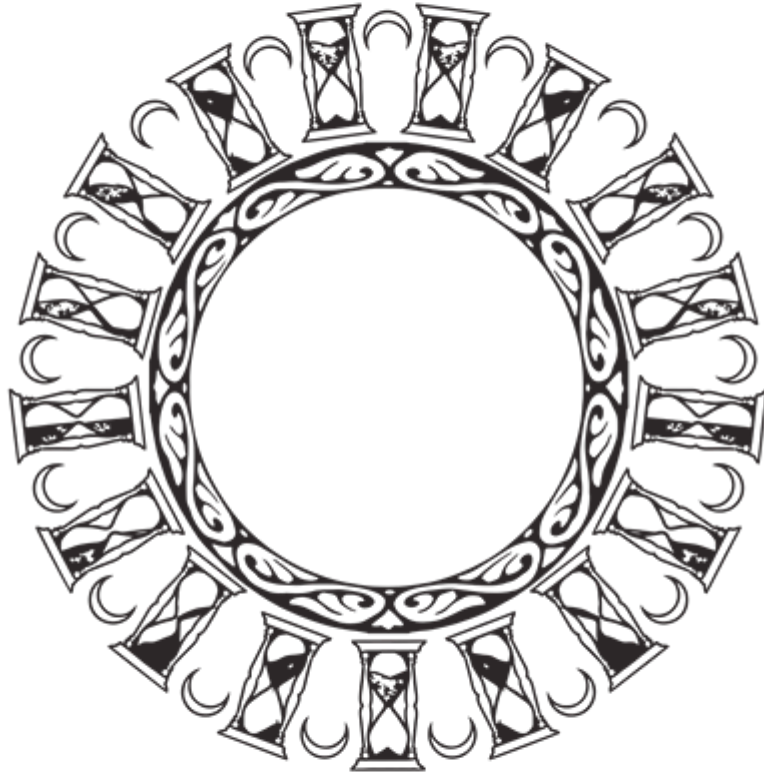
Klękają oni przed postacią przebraną za Harremid z rękoma ciągle złączonymi za łokcie. Natomiast osoba przed nimi łączy ich zewnętrzne, wolne ręce razem. Tak oto cztery górne kończyny klęczących postaci tworzą obraz serca. A wtedy, jak wyrwana ze snu, odzywa się odkrywco Viria:

– Oni... oni biorą ślub...

– Nail... – oświadcza z bólem Hamri i tuli do swej piersi wspomnianą kobietę, w której czarnych oczach pojawiają się łzy i składa ona ręce na wysokości serca. Zaś Ambum, spoglądając na młodą parę, wbija wzrok w pannę młodą i grobowym tonem chrypi:

– Pindzałka.

– I to naprawdę niezła... – kwituje widok Viria. Z kolei Hamri ociera Nail skapujące po policzkach gorzkie łzy, a ręką osłania jej serce, które z powodu miłosnej zdrady wydaje się aż krwawić i być wręcz wyrywane bólem z kobiecej piersi.



Spis treści

I. W OTCHŁANI

II. PARTNERKA

III. ROZKOSZNE ŁZY ANREI

IV. CZAROWNIK

V. NOWY KOMPAN

VI. KU PRZEPAŚCI

VII. HARREMID

VIII. MAŁŻEŃSKI WĘZEŁ